

**KAROL MAY**

# **JASNA SKAŁA**

**CYKL: SZATAN I JUDASZ TOM 9**

## Pueblo

Po trzech kwadransach jazdy dotarliśmy do śladów, wyraźnie wydeptanych przez Jumów. Charakter miejscowości świadczył, że w pobliżu jest rzeka. Emery zapytał Winnetou:

— O co wam właściwie chodzi? Chcieliście się pokazać Jumom, ale jak i gdzie o tym nie słyszałem.

— Mój brat nie słyszał, ponieważ się nie pytał. Poszukamy kryjówki wrogów.

— Poszukamy otwarcie?

— Nie. Ukradkiem.

— Chcemy przecież, aby nas spostrzegli.

— Tak, powinni nas zobaczyć, ale dopiero wtedy gdy będziemy przy nich.

— Ach! A zatem podkradniemy się do nich. Czy konie zabierzemy z sobą?

— Nie. Umieścimy je gdzieś niedaleko stąd. Zostanie przy nich nasz brat Vogel. Tak czy owak nie mógłby pójść z nami, bo nie umie się podkradać.

— A więc musimy poszukać dla niego i dla koni dogodnej kryjówki.

Wkrótce ją znaleźliśmy. Były to równoległe połacie krzaków, leżące na prawo od nas. Tam też postanowiliśmy ukryć nasze konie pod opieką Franciszka. Vogel niechętnie rozstawał się z nami, ale musiał sam przyznać, że nie ma doświadczenia westmana i zamiast pomóc, mógłby nam przeszkadzać.

Z największą ostrożnością wracaliśmy po śladach Jumów, gdyż należało przypuszczać, że Indianie wyślą naprzeciw nam wywiadowcę.

Kryjąc się za drzewami i krzakami, przybyliśmy w pobliże głębokiej doliny, gdzie Flujó Blanco wrzyna się w płasko wzgórze. Dolina tworzyła tu kanion, do którego zbliżaliśmy się prostopadle.

Naraz teren zaczął gwałtownie opadać. Wydrążenie na kształt wąwozu prowadziło ku rzece. Winnetou, jak zawsze przezorny i zapobiegliwy, rzekł:

— Nie zapuścimy się w ten wąwóz. Musimy się zorientować, dokąd prowadzi. Wyminiemy go i dojdziemy do krawędzi kanionu.

Tak też zrobiliśmy. Niebawem dotarliśmy do wysokiej krawędzi, z której można było spojrzeć w dół, na rzekę. Zobaczyliśmy wylot wąwozu, a na wprost niego, na drugim brzegu ujście strumyka, o którym opowiadała indiańska kobieta, a który wypływał spośród skał. Między strumieniem a skałami było tyle wolnego miejsca, że można było wzdłuż brzegów swobodnie iść, a nawet jechać. Emery wskazał w tym kierunku mówiąc:

— Tam jest kryjówka. Jakże się dostaniemy do niej niepostrzeżenie? Jeśli pójdziemy wzdłuż brzegu, to szubrawcy wnet nas zobaczą.

— Czy musimy iść tamtędy? — zapytałem. — Znajdziemy inną drogę, jeśli nie tu, to gdzie indziej.

Wróciliśmy do wąwozu. Nad brzegiem rzeki ujrzeliśmy, że ślady Jumów się rozdzieliły: jedne biegły naprzód, drugie przez rzekę ku strumykowi. Nie uszłoby to naszej uwagi nawet bez ostrzeżenia Indianki. Po prostu nie mogłem pojąć, jak obaj Meltonowie mogli przypisywać nam tak beznadziejną ślepotę. Na ten ślad zwróciłby uwagę każdy, a cóż dopiero Winnetou!

Przeprawiliśmy się wpław przez rzekę i zamiast pójść wzdłuż strumyka, cofnęliśmy się aż do miejsca, gdzie nietrudno było wyjść na brzeg.

Zapewne Jumowie wypatrywali nas z lewej strony, od strumienia, my zaś skradaliśmy się z przeciwległej. Oczywiście, musieliśmy podwoić czujność. W każdej bowiem chwili mogliśmy się natknąć na wroga.

— Uff! — usłyszałem nagle zdziwiony okrzyk Apacza.

Wyprzedził nas o kilka kroków. Wyprostował się, stanął za gęstym krzewem i pokazał na przerzedzone miejsce. Podpełzliśmy we wskazanym kierunku. Ogarnęło nas zdumienie, a raczej rozczarowanie. Trawa na tym terenie była udeptana, czyli ukrywali się tu Jumowie, ale teraz nie widać było nikogo.

— Poszli sobie — mruknął Emery.

— Tak, o ile to nie jest podstęp — ostrzegłem. — Być może, zobaczyli nas i cofnęli się celowo.

— Zobaczymy! — rzekł Winnetou. — Moi bracia niechaj tu poczekają.

Oddalił się, przeskoczył przez strumyk i znowu zaczął się czołgać. Skradał się jak wąż. Zniknął nam na dziesięć minut z oczu i znowu się pojawił, ukazując wyprostowaną sylwetkę. Był to znak, że nie znalazł wrogów.

— Uciekli! — krzyknął zawiedziony Emery. — Wrócili do puebla. Nie schwytemy starego Meltona.

— Gdybyż się tylko na tym skończyło! — dorzuciłem.

— Tylko na tym? Co jeszcze mogło się zdarzyć?

— Przeprawili się przez rzekę. Jeśli zobaczyli nasz ślad, to...

— Do stu piorunów, tak! W takim razie pójdą brzegiem i wrócą nad strumień. Musimy tu zostać i godnie ich przyjąć. Lepiej nie mogło się przytrafić!

— Nie jestem tak uradowany, jak ty. Gdy tylko zobaczą nasze ślady, pójdą za nami. Lecz pytanie, w którą stronę? Jeśli się cofną, to znajdą Vogla i nasze konie.

— Byłby to największy pech, jaki można sobie wyobrazić!

— Więcej niż pech. Musimy natychmiast podążyć za nimi i przekonać się, dokąd poszli.

Pośpieszyliśmy w kierunku rzeki i szybko przeprawiliśmy się przez płytką wodę. U wylotu wąwozu ujrzeliśmy o wiele więcej śladów niż poprzednio. Oglądałem je bardzo uważnie, ale nici mogłem nic wywnioskować. Tak sama Emery, a nawet Winnetou potrząsnął przecząco głową, wreszcie rzekł:

— Być może, Jumowie znowu wrócili. Moi bracia niech szybko podążą za mną ku wierzchowcom.

Przebiegliśmy wąwóz. Tu na trawie, ku najwyższemu przerażeniu, również zobaczyliśmy ślady Indian. A zatem odkryli nasz trop i poszli za nimi, ale niestety nie naprzód, lecz wstecz, tam skąd przybyliśmy.

Ruszyliśmy co tchu do krzaków, gdzie pozostawiliśmy Franciszka z końmi. Nie myśleliśmy już o zachowaniu ostrożności, wszak chodziło o naszego towarzysza i o nasze wierzchowce. Jak ścigane zwierzęta popędziliśmy przez zagajnik, z bronią w rękę, aby w każdej chwili móc jej użyć.

Dobiegliśmy... lecz nie było ani koni, ani Vogla. Darnina nie była zdeptana. Ani śladu walki. Nasz znakomity wirtuoz został po prostu zaskoczony. Ślady łukiem wracały stąd do wąwozu. My, tak doświadczeni westmani, ponieśliśmy haniebną porażkę.

Emeryomalże nie pękł z wściekłości.

— Stoicie tylko i wyłupiacie na siebie gały! — zawołał. — Gdybyście mnie usłuchali, nie zostalibyśmy wystrychnięci na dudka.

— Czy mój brat Emery nigdy nie popełnił błędu? — zapytał spokojnie Winnetou.

— Dosyć wiele — odpowiedział Anglik szczerze. — Ale nie powinniśmy się tutaj zatrzymywać. Musimy go jak najszybciej uwolnić. Ruszajmy, ruszajmy natychmiast!

Pobiegł naprzód. Widząc, że wlecze się za nim powoli, przystanął i zawołał:

— Chodźcie, no chodźcie! Nie można tracić czasu!

— Dokąd to? — zapytałem. — Do puebla?

— Do... Ach, więc myślisz, że go tam zawlekli? W takim razie nie pójdzie nam tak gładko, jak sądziłem.

— Rozumie się, że nie możemy teraz, w jasny dzień szturmować fortecy.

— Ale co będziemy robić do nocy?

— Poczekamy, nic więcej.

— Gdzie spędzimy ten czas?

— Pokażę wam — rzekł Winnetou.

— Moi bracia niech idą za mną! Poprowadził nas aż pod wąwóz i usiadł pod krzakiem.

— Czy zechcą moi bracia tu zostać? — zapytał.

— Ja nie — skrzywił się Emery. — Siedzimy pod samym nosem wroga.

— To jest jedyne i właściwe postępowanie — oświadczyłem. — Jumowie po odprowadzeniu Vogla do puebla na pewno tutaj powrócą.

— Nie odważą się.

— W każdym razie Meltonowie wyślą kilku wywiadowców, aby się dowiedzieli, gdzie jesteście i co robicie.

— Czy myślą, że będą nas mogli tutaj łatwo złapać w pułapkę?

— Tak, są święcie przekonani, że to im się uda.

— Ale nie pozwolimy się zaskoczyć i zabić. Mogli schwytać Franciszką ale nie nas. Odkryliśmy ich gniazdo, Jeśli stąd uciekną, to pojedziemy za nimi i nie spoczniemy, dopóki nie wpadną nam w ręce. Zdają sobie z te go sprawę. Pojmali Vogla, który na pewno zarzuca im teraz zbrodnię i mówi, że jest jedynym prawdziwym spadkobiercą. Co w takim razie będą chcieli z nim zrobić?

— Natychmiast go usunąć — odpowiedział z pełnym przekonaniem Emery.

— Czy mój brat Szarlieh podziela ta zdanie?

— Nie — zaoponowałem, przypuszczając co myśli Winnetou. — Morderstwo nie polepszy ich sytuacji, leci jeszcze ją pogorszy. Mordercy nie będą mogli liczyć na nasze pobłażanie.

— Mój brat ma słuszość, gdyż trzy mając Vogla jako zakładnika, zyskują szansę uratowania się.

— A więc mój brat Winnetou myśli, że jeśli zostaniemy tutaj, to wkrótce nadejdzie ich wywiadowca, a może nawet poseł?

— Tak.

— Mój brat jest najbardziej z nas domyślny. Nigdy się nie myli. Jestem przekonany, że i dziś sprawdzą się jego przewidywania.

— Bardzo w to wątpię — mruknął i przekąsem Emery.

Gdy tak rozmawiając siedzieliśmy na skraju wąwozu, nagle Apacz położył palec na ustach, dając znak do milczenia. Okazało się, że jego przypuszczenia były jak najbardziej słuszne. Nie opodal miejsca, gdzie się znajdowaliśmy, dał się słyszeć lekki szelest. Po chwili zauważyliśmy skradającego się Indianina. Domyśliliśmy się, że jest on zwiadowcą.

Winnetou gestem pokazał nam, abyśmy z Emerym pozostali na miejscu, sam zaś oddalił się bezszelestnie. Schwywanie Indianina nie stanowiło dla niego większego problemu. W okamgnieniu obezwładnił go. Ten atak zniecacka tak przestraszył Jumą, że nie wydał nawet najmniejszego okrzyku.

Winnetou skrępował mu ręce, odebrał broń i przyprowadził do nas. Indianin nie był zaskoczony naszym widokiem. Sprawiał wrażenie, że nawet jest zadowolony, iż nas spotkał.

— Czy mój czerwony brat mógłby nam powiedzieć kim jest? — zapytał Apacz schwytanego.

Ten po chwili milczenia odrzekł:

— Jestem Juma, zwiadowca z puebla. Strzegę tego wąwozu. A Wy kim jesteście?

Na to ja odpowiedziałem:

— Czy nigdy nie słyszałeś o najmężniejszym wodzu Apaczów, Winnetou, ani też o jego białym bracie, Old Shatterhandzie? A ten trzeci dzielny mąż jest naszym przyjacielem z Anglii. Poszukujemy jeszcze jednego naszego towarzysza, którego zostawiliśmy przy koniach. Czy nie spotkałeś go przypadkiem bądź też wiesz, gdzie jest? Mów! — rozkazałem groźnie.

Indianin powiódł po nas ponurym wzrokiem i już nie tak pewnie jak poprzednio odpowiedział:

— Został schwytyany przez naszych wojowników i wraz z końmi zaprowadzony do puebla. Taka była wola białych mężczyzn, którzy wśród nas przebywają. Bardzo się ucieszyli, gdy go przyprowadziliśmy. Śmiali się głośno i zacierali ręce.

— Winnetou sądzi, że mój czerwony brat mówi prawdę, ale chciałby wiedzieć, czy z waszej strony nie grozi pojmanemu nic złego?

Gdy Juma milczał, nie wiedząc co odpowiedzieć, Apacz mówił dalej:

— Oto znalazłeś się w mojej niewoli. Chcę, żebyś był mi posłuszny oraz żebyś został moim posłem. Chcę, abyś przyprowadził mi tych trzech białych, mężczyzn — ojca i syna oraz schwytanego młodzieńca, a także uprowadzone konie.

— To wygórowane żądanie! A co w zamian przyrzeka Winnetou?

— Życie. Jeśli mnie jednak oszukasz, moja kula dosięgnie cię i przebije ci serce.

Poznać było po Jumie, że odczuwa wielki respekt wobec Winnetou, ale tym razem jego wargi zadrgały w ironicznym uśmiechu, kiedy odparł:

— Jeśli nie wrócę zaraz do puebla, moi bracia zorientują się, co mnie spotkało i natychmiast wyruszą na poszukiwania. A może wódz Apaczów sądzi, że jego nie imają się kule?

— Tutaj, wśród was, jestem pewien, że mnie żadna kula, nie ugodzi. Znam was dobrze. A zatem wiesz, czego żądam: ojca i syna, mieszkających u was, młodego białego, którego dzisiaj schwytaliście, oraz koni.

— A co się stanie, jeśli nasi wojownicy nie zgodzą się na twoje żądania?

— Tego ci nie powiem, ale niebawem się dowiecie. Teraz możesz odejść. Zostaniemy tutaj, aż słońce zbliży się do widnokregu na dziesięć szerokości ręki. Jeśli do tego czasu nie dacie odpowiedzi, to spór nasz rozstrzygnie tomahawk. W ciemnościach dotrzemy do rzeki, powystrzelamy wszystkich, którzy nam staną na drodze, wędzemy się do puebla i zabierzemy to, czego nam odmawiacie.

— Winnetou jest wielkim wojownikiem, ale i Jumowie nie są myszami, które lękliwie chowają się do dziury, gdy słyszą kroki wroga.

— Nie usłyszycie ich nawet. Będziemy między wami, zanim się spostrzeżecie.

— Mamy noże. Zatopimy je w sercach wrogów!

— Nie zobaczycie ich wcale. Mój brat może iść teraz do puebla, aby następnie wrócić z odpowiedzią. Im prędzej nadejdzie, tym lepiej dla Jumów.

— Czy mogę zabrać swoją broń?

— Nie. Jeniec odzyskuje broń po zawarciu pokoju — nie wcześniej.

Indianin podniósł się i odszedł z dumnie podniesioną głową. Gdy znikł, Emery rzekł z uśmiechem:

— Mój brat chyba nie przypuszcza, że Jumowie ze strachu wydadzą nam te trzy osoby i nasze konie!

— Nie. Ale Winnetou wie dokładnie, co teraz nastąpi.

— Jestem bardzo ciekaw.

— Juma został wysłany na zwiady po to, by dowiedzieć się, gdzie jesteśmy i co zamierzamy. Zostawią nas jednak w spokoju, wiedzą bowiem, że po schwytaniu naszego towarzysza podwoimy czujność. Zwiadowca wróci i opowie Meltonom, gdzie nas spotkał i co mu powiedzieliśmy. W następstwie tego zaproponują nam pewną ugodę.

— Jaką?

— Myślę, że zgodzą się wydać jeńca i konie. Poza tym przyrzekną jeńcowi część spadku, ale w zamian zażądają, abyśmy się stąd wycofali i nigdy już nie wchodzili im w drogę. Moi bracia wątpią? Dowiedzą się wkrótce, że się nie mylę. Niedługo będziemy czekać na posłankę.

— Posłankę? — zapytał zdumiony Emery.

— Tak. Meltonowie nie przyjdą i nie przyślą żadnego Jumy, nie chcąc go wtajemniczać w to, co mają nam dci zaoferowania. Istnieje tylko jedna osoba, którą mogą wysłać, a jest nią biała squaw.

Wysoko ceniłem bystrość Apacza i często podziwiałem jego nieomylność wnioskowania, ale tym razi miałem wrażenie, że się przeliczyła zaś widocznie odgadł moje wątpi ci, bo w milczeniu, lekko się uśmiechając, spoglądał na mnie.

Czekaliśmy przeszło godzinę. Wreszcie zobaczyliśmy wojownika Jumów, z którym poprzednio rozmawialiśmy.

— I cóż, Winnetou, czy to jest squaw? — zapytał Emery.

— Jeszcze nie — odrzekł obojętnie Apacz.

— Byłaby to rzecz niezwykła, gdyby wysłano kobietę jako pośrednika.

— To się jeszcze okaże... A teras posłuchajmy, co powie nam Juma.

Indianin zbliżał się powoli. Usiadł obok nas dość pewnie, gdyż wiedziały że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Czekał, aż pierwsi doń przemówimy.

Winnetou był zbyt dumny, by rozpocząć rozmowę, a i ja także nie zamierzałem ułatwiać posłańcowi zadania Emery z ogromnej ciekawości już otworzył usta, by zapytać, ale na mój znak natychmiast je zamknął. Wobec tego Juma był zmuszony zacząć:

— Moi bracia nie myśleli zapewne, że szybko powrócę?

— Nie myśleliśmy o tobie wcale — odparł Winnetou. — Czy wrócisz, czy nie, to była dla was rzecz ważna, dla nas natomiast zupełnie obojętna.

— Dokonałem powierzonego mi przez was poselstwa.

Oczekiwał jakichś zapytań, a ponieważ milczeliśmy, więc kontynuował:

— Oznajmiłem wasze żądania obu mężom, którzy mieszkają u białej squaw.

— Dlaczego nie wojownikom Jumów? — wyrwał się Anglik.

— Im również. Wszyscy słyszeli. Ojciec białego, który ma zostać mężem białej squaw, posłał mnie do was z odpowiedzią.

— Która brzmi?

— Biała squaw przyjdzie się z wami porozumieć.

Drobny uśmiech zwycięstwa przebiegł po twarzy Winnetou. Emery zaś rzucił gniewnie:

— Biała squaw? Czy myślisz, że zwykliśmy pertraktować z kobietami?

— Biały, który mnie przysłał, był zdania, że chętnie z nią pomówicie.

— Dlaczego sam nie przybył?

— Bo nie miał czasu.

— Mógł przysłać syna!



— Ten także nie przedzie, a to z obawy, że go zatrzymacie.

Emery'ego ponosił gniew, natomiast Winnetou rzekł spokojnie:

— Wódz Apaczów nie ma w zwyczaju układać się z kobietami, ale aby wojownicy Jumów przekonali się o naszym przyjaznym do nich stosunku, godzi się na przyście białej squaw. Wróć zatem do puebla i powiedz, że czekamy.

Juma odszedł; oczekiwaliśmy z niecierpliwością przybycia Judyty, która nie bacząc na to, co się wcześniej zdarzyło, miała czelność osobiście z nami pertraktować.

— A więc — rzekł Apacz do Emery'ego — biały brat się przekonał, że nieraz nieprawdopodobne staje się prawdopodobne.

— Tu właśnie zaszedł taki przypadek! Ale jak ona śmie do nas przychodzić, nie mieści mi się to w głowie! Jestem ciekaw, co nam oznajmi.

— To, co wam mówiłem. Winnetou nie powie jej ani słowa, niech moi bracia sami z nią rozmawiają.

— Ja nie! Obawiam się, że wszystko bym popsuł — rzekł szybko Emery. — Charley, czy podejmiesz się tego?

— Z niechęcią, ale cóż, muszę! Proszę cię jednak, nie przerywaj mi.

Zapewne w pueblu byli przekonani, że zgadzamy się na ich propozycję, gdyż niedługo wypadło nam czekać na pojawienie się Judyty. Przyszła w towarzystwie młodej Indianki, która niosła lekkie krzeselko, splecione z trzcinki i sitowia.

Judyta nosiła wytworny strój, niespotykany tu na pustkowiu, na granicy między Nowym Meksykiem a Arizoną. Skoro się do nas zbliżyła, przybrała zwycięski uśmiech. Skinęła nam głową. Dała znać Indiance, aby postawiła krzesło na wprost nas, następnie usiadła i rzekła swobodnie, wręcz kokieteryjnie:

— Jestem ucieszona, seniores, że was znowu widzę. Daleka jazda nie przyniosła uszczerbku waszemu zdrowiu. Nie wątpię, że wpłynie to dodatnio na załatwienie naszej sprawy.

Nie wstaliśmy na jej przywitanie, a nawet nie odpowiedzieliśmy na jej ukłon. Również moja twarz nie była odzwierciedleniem uprzejmości, kiedy odpowiedziałem:

— Żadnych pogawędek, seniora! Trzymajmy się ściśle sprawy, która nas skłoniła do spotkania. Mieszka pani teraz z tak zwanym Smallem Hunterem i jego ojcem?

— Tak.

— Nie wiedziała pani jeszcze w Nowym Orleanie, że ten człowiek jest jego ojcem. Kiedy się pani o tym dowiedziała?

— Tu, kiedy przyjechał. Mówiąc to nie zarumieniała się nawet ani nie zbladła. Kontynuowała ze śmiechem:

— Powiedziano mi, że nie powinnam się niczego wstydzić ani też lękać. Nie jesteście dla nas niebezpieczni. Dlatego bez obawy mogę panu oświadczyć, że znam nazwisko swojego narzeczonego.

— Jonatan Melton, a jego ojciec nazywa się Tomasz Melton, nieprawdaż?

— Istotnie.

— A stryj?

— Harry Melton.

— Czy wie pani, gdzie przebywa teraz Harry Melton?

— Wie pan o tym o wiele lepiej niż ja. Wszak to pan go zabił.

— Kto to pani powiedział?

— Jego brat. Człowiek tak porywczy, jak pan, może się wszystkiego dopuścić, nawet morderstwa dla rabunku.

— Pani wie doskonale, że Tomasz Melton jest kłamcą i oszustem. I jego syn Jonatan również.

— Oszustem? Jedni tak to nazywają, inni inaczej. Jonatan jest rzutki, sprytny i bogaty.

— Pojmuję, zrujnowała się pani. Nie posiada obecnie seniora więcej ponad tę kamienną i glinianą rudę, którą przesadnie nazywa zamkiem, a którą każdy Indianin może ci odebrać. Wobec tego jest pani bardzo zadowolona, że Jonatan objął spadek, który będziecie mogli roztrwonić. Czy mam słuszność?

— Dlaczego nie miałabym przyznać panu słuszności? Ale samą słusnością niedaleko zajdziemy.

— Niech pani zrozumie, że stanie się współwinną przestępstwa!

— Co to znaczy wina, senior? Winą jest wszystko, co obciąża sumienie, a moje sumienie jest czyste.

— Nie zazdroszczę pani! Ponieważ mówi to pani z rozbijającą szczerością, więc będę również szczerzy. Przyszedłem, aby schwytać Jonatana.

— Wiem o tym — odpowiedziała z uśmiechem.

— A ponieważ przyznaje się pani do współwiny, więc bierze mnie wielka chętka, aby i panią pojmać.

Teraz wreszcie spuściła z tonu. Zapytała cicho i niepewnie:

— Senior, jestem parlamentariuszką. Czy może mnie pan zatrzymać?

— Mógłbym.

— Nie, to byłoby sprzeczne z prawem!

— Prawa narodów... tam gdzie idzie o tak straszliwe zbrodnie!?! Czy przyrzekłem, że pozwolę pani wrócić do puebla?

— Nie, ale to się samo przez się rozumie.

— Nie jest to tak zrozumiałe, jak się pani wydaje. Lecz proszę się uspokoić. Ani mi nawet przez myśl nie przeszło, aby panią zatrzymać. Może seniora bez przeszkód wracać.

— Skoro tak, powiem prawdę. Przyszłam tu tylko po to, aby sprawić sobie przyjemność i oznajmić wam, żeście się na próżno fatygowali. Nie uprowadzicie stąd nikogo, nie dostaniecie ani grosza z tych pieniędzy, które chętnie zagarnęlibyście. Czy jesteście aż tak zaślepieni, że marzy wam się opanowanie puebla?

— A jeśli jednak uda nam się przedostać do kotliny?

— Wiem wprawdzie od dawna, że umie się pan niepostrzeżenie, niczym wąż, prześlizgnąć, ale nie w tej miejscowości. Musiałby pan przefrunąć ponad głowami naszych strażników.

— Istnieją chwytaki i wybiegi, które mogą usunąć z drogi więcej niż dziesięciu wartowników. Zaręczam słowem, że jeśli zechcę, potrafię z całą pewnością wedrzeć się do kotliny.

— Tak, można panu przyznać znajomość forteli i wybiegów! Dobrze że pan o nich uprzedza. Zarządzi się odpowiednie środki ostrożności. Ale z kotliny daleko jeszcze do puebla.

— Wejdziemy i do puebla.

— Nawet gdyby pan wdarł się do puebla, nie znaczyłoby to jeszcze, że ma kogokolwiek w ręku. Jesteśmy uzbrojeni i naprawdę nie będziemy pana oszczędzać. Pożegnaj się więc senior z myślą o zagarnięciu pieniędzy.

— Wręcz przeciwnie. Jestem przekonany, że je odzyskam.

— Ani złamanego szeląga! Chociaż możemy panu wynagrodzić przebyte trudy.

— Doprawdy? — zapytałem z nie ukrywaną ciekawością.

— Wie pan, gdzie przebywa obecnie Vogel?

— Tak.

— Jest to kolejny dowód, że pański sławny rozsądek szwankuje. Jakież to przezorne westman zabiera z sobą tak niedoświadczonego chłopca? Co nam przeszkodzi unieszkodliwić go raz na zawsze?

— Nic na tym nie zyskacie.

— Nic? Naprawdę nic?

— Śmierć jednego spadkobiercy, których zresztą jest wielu, nie da wara jeszcze praw do majątku. Przestępstwo pozostaje przestępstwem. Nie ośmieli się pani zabić tego młodzieńca.

— Ja? Mnie tam wszystko jedno, czy umrze, czy zostanie przy życia Ale Jonatan i jego ojciec na pewno zabiją Vogla, jeśli wrócę, nic nie wskórawszy.

— A zatem ma pani poczynić pewne propozycje, postawić nam jakiej warunki?

— Tak. Jesteśmy gotowi przyznać wam pewne korzyści...

— I zażądać w zamian większych?

— Bynajmniej! Niech pan posłucha co zaproponuję. Dostaniecie z powrotem konie, a także tego młodzieńca o nazwisku Vogel, który twierdzi, że jest spokrewniony z Hunterem...

— Wspaniale!

— Vogel dostanie sto tysięcy dolarów w papierach wartościowych, w pan dziesięć tysięcy w banknotach.

— Ja?

— Tak. Niech się pan zastanowi. Wszak zabijając stryja Meltona, odebrał mu pan jego pieniądze. Zbił pan fortunę, jak się patrzy!

— Słusznie, seniora.

— Nie żądamy w zamian nic więcej prócz...

Umilkła, spoglądając na mnie badawczo.

— No więc, prócz...? — zapytałem.

— Prócz tego, że zapomni pan o Jonatanie i jego ojcu, że nigdy nikomu nie będzie pan o tej sprawie wspominał...

— Naturalnie, naturalnie!

— I że Vogel i jego krewni zadowolą się sumą stu tysięcy. I będą tak samo milczeć, jak pan.

— Co za skromność, co za wielka wspaniałomyślność.

— Prawda? Tyle gotówki za milczenie. Czy można żądać więcej?

— Nie. W żadnym wypadku nie należy.

— A zatem godzi się pan?

— Tak.

— To mnie cieszy! Naprawdę nie wierzyłam, aby był pan gotów zaakceptować zaproponowane warunki. Jeśli wszyscy trzej się zgadzacie, to...

— Zgadzamy się... — przerwałem — całkowicie się zgadzamy! Ale nie dowiedziała się pani pod jakim względem.

— Więc pod jakim?

— Zgadząmy się ze zdaniem, że Meltonowie są największymi łotrami pod słońcem.

— To nie ma nic do rzeczy!

— Czy również nie ma nic do rzeczy druga prawda, co do której się zgadzamy, a mianowicie, że jest pani taką samą oszustką, jak obaj Meltonowie razem wzięci?

— Senior, po co te obraźliwe słowa? Czy chce pan zniweczyć naszą piękną ugodę?

Mogła się istotnie łudzić, że godzę się na jej warunki, gdyż mówiłem z takim spokojem, z taką obojętnością, na jaką tylko mimo oburzenia mogłem się zdobyć. Teraz dopiero połąpała się, że przemawia przeze mnie ironia i gniew. Udając wściekłość wstała, jak gdyby chciała odejść. Podniosłem się również i rzekłem:

— Nasza ugoda? Czy istotnie mogła pani przypuszczać, że przystanę na jej szaleńcze żądania?

— Nazywa je pan szaleńczymi? — zawołała. — Niech się pan dobrze zastanowi nad moją propozycją!

— Po cóż mam się zastanawiać? Vogel bezwarunkowo musi dostać wszystko, wszystko, oczywiście oprócz tego, co do chwili terażniejszej zostało roztrwonione.

— To właśnie przez pana przemawia szaleństwo! A więc zgoda?

— Nie!

— W takim razie nie odzyska pan koni!

— Odbiorę je siłą.

— To Vogel umrze!

— Jeśli mu włos spadnie z głowy, przypłaci to pani swoim życiem, Judyto! Niech pani to sobie rozważy. Mówię całkiem serio.

— Ciekawe, kiedy i w jaki sposób pan tego dokona?

— Dowie się pani niedługo! Sądziłem, że ma pani dostateczne powody, aby nie być taką zadufaną w sobie. Wszak poznała już pani Old Shatterhanda i Winnetou.

— Ale teraz z kolei pan nas pozna. A zatem pytam po raz ostatni, czy przyjmuje pan moje warunki?

— Nie, w ogóle nie ma o czym mówić.

— A więc skończyliśmy rozmowę?

— W tej chwili tak, ale nie na długo. Sądzę raczej, że dopiero teraz zadzierzną się między nami nowe i wspaniałe stosunki.

— Niech pan sobie żartuje... Żal mi pana!

Indiance, która stała opodal, skinieniem ręki rozkazała zabrać krzeselko i odeszła do wąwozu. Ale nagle przystanęła, przez chwilę spoglądała w dół, jak gdyby coś rozważając, po czym wróciła i rzekła:

— Senior, mimo wszystko chcę pana jeszcze raz ostrzec. Czy istotnie pan przypuszcza, że dostanie się do naszego skalnego domu?

— Tak.

— A ja wam mówię, że będziemy się bronić do ostatniej kropli krwi!

— To mnie nie obchodzi. Miałem w życiu innych, groźniejszych przeciwników niż Meltonowie. A pani w ogóle nie biorę pod uwagę.

Zamierzała już odejść, lecz jednak rozmyśliła się i dodała:

— Sądziłem, że przyjmie pan nasze propozycje i...

— Gdybym je przyjął, postąpiłbym dokładnie tak, jak Meltonowie — przerwałem jej.

Nie zwracając uwagi na moje słowa, Judyta kontynuowała:

— A jednak pomyśleliśmy o tym, że może pan mieć wewnętrzne opory. W tym wypadku postanowiliśmy zostawić panu czas do namysłu, do jutra w południe.

— Bardzo to uprzejme z waszej strony — odparłem. — Ale zbytek łaski!

Udała, że nie słyszała, i mówiła dalej:

— Wróć tutaj jutro w południe. Czy będziecie na tym samym miejscu?

— Owszem, o ile nie zobaczymy się wcześniej.

— Mam nadzieję, że nie! — roześmiała się. — A zatem jutro w południe. Żegnam pana, bohaterze i zbawco bezinteresowny!

— Nie tak prędko, nie tak prędko, seniora! Pójdziemy razem kawałek drogi.

— Po co? — zapytała zdumiona.

— Gdyż jako caballeros wiemy, przystoi zachowywać się wobec kobiety. Odprowadzimy panią do puebla.

— Zastrzelą was tam!

— Najwyżej panią.

— Nie, nie... panów! Niech pan zostanie! Zostańcie tutaj!

— Phi! Proszę się o nas nie obawiać, skoro my się nie obawiamy.

— Cóż, jeśli pragniecie śmierci... zatem róbcie, co wam się podoba!

Weszła ze swą Indianką do wąwozu, a ja kroczyłem tuż za nią. Za mną szedł Winnetou i Emery, którzy nie przejrżeli jeszcze moich zamiarów.

Przybywszy do rzeki Judyta skręciła na lewo do wąskiego kanionu, W pewnym momencie zatrzymała się i rzekła podniesionym głosem:

— Można pomyśleć, że pójdziecie dalej!

— Naturalnie! — odpowiedziałem poważnie.

— Ale mówiłam już panu, że Indianie, którzy czuwają nade mną, będą was z góry ostrzeliwać!

— Moja droga, niechże się pani o nas nie troszczy. Wszak widzi pani, że idziemy tuż za nią. Jeśli ktoś zechce w nas strzelić, w panią także może ugodzić. Jesteś więc naszą tarczą.

Złękła się poważnie.

— Idź pan, idźcie z powrotem! — zawołała. — Bo nie postąpię ani kroku naprzód.

— Nie? Pozwoli pani ze sobą pomówić. Meltonowie popełnili spore głupstwo, że posłali panią do nas. Jesteśmy dosyć przyzwoici, aby pozwolić seniorze odejść samej, a nawet zmusimy panią do powrotu, ale będziemy jej towarzyszyć.

— Nie, nie, zostańcie tutaj! — krzyknęła ponownie.

— Ani nam się śni! Musimy panią odprowadzić, to dla nas sprawa honoru. Wyśmiewała się pani ze mnie, gdy powiedziałem, że będzie nam bardzo łatwo przejść przez ten wąski korytarz. Muszę więc pani dowieść, że czyniła to niesłusznie. Dziś także przekona się seniora, że Old Shatterhand i Winnetou wiedzą, jak się zabierać do rzeczy. A zatem proszę, niech pani idzie dalej!

— Nidzie nie pójdę!

— Zmuszę panią. Niech się seniora nie gniewa, jeśli jej piękna łabędzia szyja dozna dotyku mojej ręki.

— Nie waż się, bezwstydniku!

— Naprzód, Judyto!

Ująłem ją za kark; rzuciła się na ziemię i krzyknęła:

— Nie ruszę się stąd, nawet jeśli zechce mnie pan zabić!

— Nawet jeśli zabiję? Figlarka z pani. Nie zabiję cię, a jednak pójdziesz. A zatem w drogę!

Schwyciłem ją za ramię i ścisnąłem tak, że podniosła się natychmiast. Poszła naprzód. Lecz gdy tylko przestała odczuwać ból, zatrzymała się znowu. Ponowiłem uścisk, po którym ruszyła, i to szybko. Winnetou i Emery szli tuż za nami. Jeden trzymał w pogotowiu strzelbę z prawej strony nade mną, drugi z lewej. Dzięki temu w razie ataku wrogów mogli strzelać swobodnie, podczas gdy każdy strzał przeciwników musiałby ugodzić Judytę.

To postępowanie wobec Judyty nie sprawiało mi przyjemności. Jakkolwiek sumienie miała nieczyste, zawsze to była kobieta; ale ważyło się tu zarówno życie i wolność Franciszka, jak i powodzenie całego naszego planu.

W kanionie było coraz ciasniej, niebawem zobaczyliśmy Indian, ukrytych za krzewem, koło skały. Oni nas również ujrzeni. Młoda Indianka z krzesłem wyprzedziła nas i zawiadomiła o zdarzeniu. Nie mogli strzelać, więc pozwolili, abyśmy podeszli blisko. Wyciągnąłem rewolwer i popychając przed; sobą Judytę, oddałem w powietrze kilka strzałów dla przestraszenia Jumów. Pierzchnęli czym prędzej. Odpędzaliśmy ich w ten sposób, aż wreszcie, jeden po drugim, wszyscy zniknęli nam z oczu. Schronili się do szczeliny, która z kanionu Flujo Blanco wiodła do kotliny puebla.

Dotarliśmy wreszcie do jej wylotu.

— Tu chciano na nas napaść? — zapytałem Judytę. — Połowa Jumów oczekiwała w tym przejściu, a druga połowa, ukryta nad strumykiem, miała na nas uderzyć z tyłu.

— Jest pan diabłem, istnym diabłem! — syknęła wściekle.

— Nie przeczę, seniora. Przyznaję również, że z prawdziwą przyjemnością poślę kulę każdemu, kto zechce tędy opuścić pueblo. Tam w kotlinie skupili się wszyscy wasi. Jesteście uwięzieni. Teraz my usiadzimy u wylotu tego korytarza i nie wypuścimy nikogo. Jest nas tylko trzech, ale warto wziąć pod uwagę, że poza strzelbami mamy jeszcze dość rewolwerów a ja mam ponadto swój sztucer, o którym stary Melton opowie pani wiele ciekawych rzeczy. Rozporządzamy co najmniej sześćdziesięcioma strzałami bez ładowania. Uprzytomnij to swoim ludziom. Powiedz im także, że nie oszczędzę nikogo, jeśli jeńcowi włos spadnie z głowy. A nie zapomnij dodać, że mamy wyśmienity słuch. Ktokolwiek zechce się wykraść, usłyszymy go z daleka i nie minie go śmiercionośny nabój, A teraz wróć do swoich! Nam, seniora, nie jesteś już potrzebna. Ale ponieważ umówiłaś się z nami na jutro w południe, więc posiedzimy tutaj do tego czasu. Jeśli będziesz nam miała coś do powiedzenia, owszem, jestem gotów cię wysłuchać. „Wielki bohater i zbawca bezinteresowny” żegna panią!

Puściłem jej ramię. W okamgnieniu znikła w szczelinie. Usiedliśmy, trzymając broń w pogotowiu. Nie było tutaj już tak jasno, jak w kanionie. Słońce chyliło się ku horyzontowi.

— Do stu piorunów, Charley, co za świetny pomysł! — szepnął Emery. — Któż by przypuszczał, że w biały dzień dotrzemy aż tutaj!

— Ten pomysł sam się nasunął. Gdybym go nie wykorzystał, słusznie mógłbym uchodzić za idiotę.

— Aczkolwiek tak mówisz, nie sędzę, abym ja wpadł na to. Teraz wygraliśmy. Pueblo jest nasze!

— Jeszcze daleko nam do tego. Ale przypuszczam, że Meltonowie będą chcieli uciec.

— Wówczas znowu musielibyśmy ich ścigać, kto wie jak daleko.



— Właśnie to sobie pomyślałem. Zrozumiałem, że trzeba im odciąć drogę. A jest tylko ta jedna, gdzie teraz siedzimy. Meltonowie wiedzą, że tu czuwamy i że zastrzelimy każdego, kto ośmieli się stąd wyjść, będą się zatem obawiali opuścić pueblo. A więc trzymamy ich w garści.

— Gdyby to tylko było pewne! Możliwe przecież, że wszyscy razem wypadną z puebla.

— Wszyscy razem? Nie, to niemożliwe, albowiem tylko jeden człowiek zmieści się w tym wąskim przejściu. Dla dwóch nie ma tam miejsca. Jeśli zaś pójda gęsiego, to schwytemy ich wszystkich po kolei. Wystarczy jeden z nas, aby strzec wylotu.

— Hm, masz rację. Łajdaki tkwią we własnym potrzasku. Ale nie możemy przecież wiecznie tu siedzieć, musimy wejść do kotliny.

— Naturalnie. Skoro tylko się ściemni, wynikniemy się stąd. Niestety nie mamy koni. Będziemy musieli o być pieszo drogę do krawędzi skały.

— Lecz wtedy droga przez wylot stanie otworem!

— Tak, ale oni o tym nie będą wiedzieć. Myślą, że nie odejdziemy stąd i nie odważą się wejść do wąwozu.

— Kiedy jednak będziemy spuszczać się z góry, zobaczą nas i ucieknątydy.

— Być może, ale temu nie można zapobiec.

— Myślę, że chyba można. Jedna z nas musi tu pozostać.

— Hm! Co myśli o tym Winnetou.

— Nasz brat Emery ma słuszość: odpowiedział milczący do tej pory Apacz. — Niech on tu zostanie, ze swoją dwururką i dwoma rewolwerami powstrzyma każdego, kto chciałby tędy się przekraść.

— Tak — potwierdził Anglik. Nie jestem zbyt wytrawnym gimnastykiem ani turystą i mógłbym nie poradzić sobie z lassem. Tu jednak nic innego mi nie pozostaje, jak dać po nosie każdemu, kto ośmieli się go wysunąć.

— Ale czy poradzimy sobie we dwóch w pueblu? — zapytałem Winnetou.

— Tak.

— Zdołamy schwytać obu Meltonów?

— Ja jednego, ty drugiego.

— I przełamać opór Jumów, którzy nam staną na drodze?

— Nie staną. Nie będzie ich wcale w pueblu. Na pewno leżą u wylotu szczeliny. Jak my tu czuwamy, aby nie uciekli, tak samo oni tam czuwają, abyśmy nie wtargnęli głębiej.

— Zgoda. Ale jest to pewne ryzyko tylko we dwóch opuścić się z tak wysokiej skały do kotliny pełnej wroga. Najmniejsza kula może dosięgnąć śmiałka.

— Jumowie wcale nie będą strzelać. Przecież nie siedzą w pueblu, tylko u wylotu kotliny. W budowlu zostali jedynie obaj Meltonowie i Judyta. Poradzimy sobie z tą trójką, nie alarmując Jumów. Potem zaś nikt nie targnie się na nas, gdyż Meltonowie jak uprzednio Judyta będą nam służyć za tarczę. Mój brat Szarlieh ma zbyt bujną wyobraźnię.

Podobnych słów nie słyszałem jeszcze nigdy z ust Apacza. Wiedziałem, że nie wątpi o mojej odwadze, a jednak odczuwałem coś w rodzaju wstydu. Nasza nocna wycieczka zdawała mi się zuchwalsza niż jemu. Pueblo było bowiem budowlą pełną zasadzek i pułapek. Do mieszkań prowadziły jedynie otwory w dachach. Zanim by się oparto stopę na podłodze, można już było dostać z dziesięć kul albo otrzymać dźgnięcie nożem. A wcześniej jeszcze zostać złapanym na lasso.

Skoro wyjaśniłem Apaczowi swoje obawy, uśmiechnął się i rzekł:

— Mój brat ma wielkie wyobrażenie o mężczyznach, którzy znajdują się w pueblu. Jumowie strzegą wylotu szczeliny. Czy będą tam czuwać po ciemku?

— Nie. Na pewno rozniecą ogień.

Muszą w każdej chwili spodziewać się naszego podejścia. W ciemności mogłoby się nam to udać, ale nie przy blasku ogniska.

— Będą zatem siedzieć przy ogniu, którego jasność tak Jumów oślepi, że nie zobaczą, co dzieje się na górze, na ciemnej skale. Nie spostrzegą nas na pewno.

— Ale co będzie, jeśli Meltonowie, a może też i Judyta, siedzą w ciemnościach na górnej platformie? Stamtąd łatwo nas zauważą.

— Mój brat niech nie zapomina, że oni przypuszczają, iż czuwamy tutaj na dole. Skupią zatem całą swoją uwagę na wejściu.

Musiałem mu przyznać rację, co i mnie samego nieco uspokoiło. Lecz mimo tego męczyły mnie jednak nadal wątpliwości, wiedziałem bowiem, że ostateczne rozstrzygnięcie nastąpi jeszcze dzisiaj. Gdyby się nam dzisiaj nie powiodło, należałoby przypuszczać, że Meltonowie umkną nam na zawsze.

Emery podniósł się i oddalił, aby poszukać suchego drzewa na ognisko. Pomogłem mu. Ognisko mogło się przydać z dwóch względów. Po pierwsze, oświetliłoby okolicę, a po drugie, gdyby było rozpalone nie u wylotu szczeliny, lecz w jej gardzieli, stałoby się poważną przeszkodą dla każdego, kto chciałby się z niej wydostać.

O zmroku dotarły do nas z głębi kotliny lekkie obłoki dymu. A zatem Jumowie rozniecili ogień. My również ułożyliśmy drwa i podpaliliśmy je.

Emery poszukał odpowiedniego miejsca w zaroślach i ukrył się w mroku, na wprost ogniska. Wskutek tego mógł doskonale obserwować wąż. Ja z Winnetou przygotowaliśmy się do drogi. Wziąłem od Anglika lasso, bo było nam potrzebne.

— Masz — rzekł dając mi je. — Myślę, że się nie zerwie. Kiedy będziecie na górze?

— Najwcześniej za pięć kwadransów, musimy bowiem pójść tam pieszo.

— Czy nie moglibyście dać mi jakiś znak, skoro zejdziecie już na dół?

— Nie. Znak mógłby nas zdradzić.

— Ale chciałbym wam pomóc, gdyby doszło do walki.

— Mam nadzieję, że nie będzie nam potrzebna twoja pomoc.

— A gdyby jednak?

— W takim razie posłuchaj uważnie. Jeśli usłyszysz zwykłe strzały lub inny hałas, to zostań na posterunku i nie wypuszczaj nikogo. Ale gdy usłyszysz głośny i głęboki huk mojej niedźwiedziówki, który na pewno do ciebie dotrze, to będzie oznaczać, że jesteśmy w niebezpieczeństwie. Wówczas poprzez ognisko wpadniesz do kotliny. Skoro tylko cię zobaczę, zawołam, co masz czynić.

— Dobrze, niech tak będzie. Sądzę, że nie będziemy potem musieli leczyć żadnych ran. Dziś wreszcie trzymamy w potrzasku tych dwóch szubrawców i nie sądzą, żeby nam stąd drapnęli.

Podzielałem jego zdanie. Podałem mu dłoń i odszedłem wraz z Apaczem.

Teraz w kanonie było tak ciemno, że zwykły śmiertelnik nie zobaczyłby ręki przed oczami. Ale my źrenice mieliśmy wyćwiczone i jako tako posuwaliśmy się naprzód. Gdy tylko wyszliśmy z doliny i wąwozu, rozjaśniło się znacznie, gdyż gwiazdy świeciły jasno.

Minęła przeszło godzina, zanim dotarliśmy do płaskowzgórza. Winnetou zaprowadził mnie do drzewa, do którego mieliśmy zamiar przymocować lasso.

Na dole, u wejścia do szczeliny, płonęło wielkie ognisko, a reszta przestrzeni tonęła w mroku. Panowała głęboka cisza. Żaden dźwięk nie dochodził do naszych uszu, jakkolwiek w dole Jumowie mogli rozmawiać z sobą a stojące konie parskać.

— Czy mój brat sądzi, że powinni my już teraz zejść? — zapytał Winnetou.

— Tak.

— Ale Jumowie są jeszcze zbyt czujni. Lepiej trochę poczekajmy.

— Jak mój brat sobie życzy.

Położyliśmy się, uprzednio związawszy mocno z sobą trzy lassa. Po godzinie zabraliśmy się do dzieła. I tu nastąpiła mała sprzeczka, albowiem każdy z nas chciał pierwszy zajrzeć niebezpieczeństwu w oczy. Wreszcie przewagę uzyskał Winnetou.

— Pierwszy nie może schodzić rzekł — lecz musi być spuszczone. A ponieważ jesteś silniejszy ode mnie, więc zostaniesz na górze. Zejdiesz dopiero po mnie.

Przywiązaliśmy do drzewa koniec lassa, drugim końcem Winnetou przepasał się przez piersi, plecy i pod ramiona, zawiesił swoją strzelbę i ukląkł nad brzegiem przepaści. Wziąłem linę w ręce, mocno wsparłem nogi w ziemię i zacząłem powoli przesuwając lasso w dłoniach. Dzięki temu, że zsuwało się po kancie skały, miałem zadanie ułatwione, nie wymagające szczególnego wysiłku. Jeszcze nie wyszła cała lina, gdy zorientowałem się, że Winnetou jest u celu. Apacz mocno ściągnął lasso, aby rozkołysało się pode mną. Czekala mnie trudniejsza przeprawa. Stosunkowo łatwo jest bowiem opuścić się na mocnej linie długości czterdziestu łokci, ale o wiele trudniej jest zejść po cienkim lassie. Zsuwałem się powoli. Czułem, jak pieką moje dłonie z powodu lekko zdartego naskórka i zbytniego wysiłku. Wreszcie stanąłem u boku Winnetou.

Byliśmy więc na górnej platformie puebla. W pobliżu sterczała drabina, a o kilka kroków dalej był otwór: zejście na niższe piętra.

— Czy nie zauważyłeś czegoś podejrzanego? — zapytałem szeptem Apacza.

— Nie.

— Być może, ktoś jest pod nami. Warto posłuchać.

— Nie trzeba. Nie ma tam nikogo, w przeciwnym bowiem razie drabina stałaby wewnątrz przy otworze.

— Masz rację.

Zeszliśmy piętro niżej. Miejsce to sprawiało wrażenie opuszczonego. Wiedzieliśmy, że wojownicy siedzą u wejścia do kotliny. Naraz rozległ się krzyk dziecka.

— Cóż to takiego? — szepnął Winnetou. — A zatem są tam ludzie!

— Cicho! — ostrzegłem. — Myśleliśmy o wojownikach, a więc o mężczyznach, zapominając całkiem o kobietach i dzieciach.

— Jumowie, schodząc na dół, wyjęli drabiny z otworów. Nikt nie może więc wyjść z wnętrza, dopóki nie wrócą wojownicy i nie ustawią drabin z powrotem.

Przekradaliśmy się cichaczem z jednego tarasu na drugi, aż doszliśmy do czwartego gdzie, ku naszemu zdziwieniu, drabina nie była przystawiona do ściany, lecz tkwiła w otworze. —

— To niebezpieczne! — szepnął Apacz. — W każdej chwili może ktoś wejść na górę i zobaczyć nas. Musimy stąd odejść.

— Z powrotem na górę?

— Nie. Na niższą platformę.

— Ale w jaki sposób?

— Pomożemy sobie wzajemnie. Chodź!

Piętra nie były wyższe ponad cztery łokcie, mogliśmy więc zejść bez używania drabiny. Ale nie mogliśmy skakać, aby nie spowodować hałasu. Ponieważ byłem silniejszy, zaproponowałem, żeby Winnetou uchwyciwszy mnie za nadgarstki, spuścić się pierwszy na dół. Następnie ja trzymając się rękami krawędzi, miałem oprzeć nogi na ramionach Apacza, a potem zsunąć się po nim. Nie zdążyliśmy jednak wykonać naszego zamiaru, gdyż w pewnym momencie usłyszeliśmy hałas. Ktoś wchodził po drabinie. Razem z Winnetou odskoczyliśmy w najciemniejsze miejsce i przywarliśmy do skały. W otworze ukazała się głowa... Tomasa Meltona. Rozejrzał się, przez chwilę jak gdyby zawahał się, czy wyjść, czy pozostać. W końcu jednak nie wszedł na platformę. Powrócił na dół.

Przez moment zastanawialiśmy się, co zrobić. Wreszcie postanowiliśmy zejść za Meltonem i schwytać go przez zaskoczenie. Nasłuchiwalimy, czy nie słychać jakichś rozmów bądź innych odgłosów. Ale wokół panowała cisza.

Winnetou bezszelestnie zszedł po drabinie na dół, ja za nim, jak tylko można było najciszej.

W pierwszym pomieszczeniu nie było nikogo, w drugim za kotarą, odwrócony do nas plecami, siedział przy stole Melton i coś przeglądał. Błyskawicznie wpadłem do wewnątrz i zadałem mu ogłuszający cios. Straciwszy przytomność, zwałił się na podłogę.

Podniósłszy Meltona z ziemi, położyliśmy go na stole. Skrępowawszy mu ręce i nogi, mocno przywiązaliśmy rzemieniami do stołu.

Przeszukaliśmy pokój, ale nigdzie nie znaleźliśmy pieniędzy. Wiedzieliśmy, że musiał je gdzieś ukryć. Ponieważ zależało nam na pośpiechu, odzyskanie gotówki odłożyliśmy na później. Zgasiwszy lampę, po cichu opuściliśmy pomieszczenie.

Przystawiliśmy drabinę i wszedłszy na platformę, wyciągnęliśmy ją na górę, aby zejść po niej na niższe piętro. Musieliśmy dowiedzieć się, gdzie mieszkał Jonatan Melton. Po rozejrzeniu się zobaczyliśmy piętro niżej otwór. Ponieważ nie był zakryty, więc biło z niego mocne światło. Zeszliśmy ostrożnie na dół, podkradliśmy się do otworu i zaczęliśmy podsłuchiwać. Rozmawiały dwie osoby. Dobiegał do nas głos męski i kobiecy; poznałem Jonatana i Judytę. Drabina prowadziła do wnętrza. Otwór był tu dwukrotnie większy niż poprzedni, toteż nachyliwszy się, zobaczyliśmy pod sobą większą przestrzeń. Jonatan i Judyta siedzieli obok siebie na ławce. Dostłyszałem właśnie, jak Judyta mówiła: A więc uważasz, że ci trzej mężczyźni zatrzymają się przed wejściem?

— Tak — odpowiedział — aby nas strzec.

— I nie ma sposobu, aby ich odpędzić?

— Nie. Niestety, z kotliny prowadzi tylko jedna droga. Gdyby nawet było nas tutaj stu czy więcej mężczyzn, nie poprawiłoby to naszej sytuacji, albowiem przejście przez ten wąski korytarz dostępne jest tylko dla jednej osoby. Pierwsi odważni padną od strzałów i swoimi ciałami zatarasują drogę. Jedyna pociecha w tym, że mamy dosyć żywności, wystarczy jej na długie miesiące, a wody nawet na całą wieczność. Do tego czasu, być może, te łobuzy stracą cierpliwość.

— Tak długo nie będziemy chyba musieli czekać. Chodź, ukochany, chcę ci coś pokazać!

— Co takiego?

— Zobaczysz. Zejdziemy na dół. Zejdą na dół. A więc najprawdopodobniej wejdą na górę po drabinie. Szybko cofnęliśmy się od otworu i położyliśmy w najdalszym kącie tarasu. Ale czekaliśmy na próżno — nie przyszli. Stąd też wynikało, że z pierwszego piętra można zejść na dół bezpośrednio. Dopełzliśmy do krawędzi platformy, skąd ostrożnie spojrzeliśmy na dolny taras. Nie było tam widać nic szczególnego. Chętnie byśmy się dowiedzieli, co Judyta chciała pokazać swemu Jonatanowi. W każdym razie myślała z pewnością o ucieczce. Dopiero po dłuższym czasie odważyliśmy się zbliżyć ponownie do otworu. Oboje wrócili już i kontynuowali rozmowę. Pochyliłem głowę jak najniżej, aby lepiej słyszeć, lecz nagle Winnetou schwytał mnie za ramię i szepnął:

— Musimy odejść stąd natychmiast! Szybko, słyszę wyraźnie, że na górze ktoś nadchodzi!

Leżeliśmy na drugim, licząc od dołu, tarasie, a więc na tak nieznacznej odległości od ziemi, że gdybyśmy się wyprostowali, oświetliłby nas blask ogniska. Musieliśmy odsunąć się od otworu na czworakach. Nie słyszałem żadnego szmeru, ale mogłem polegać na słuchu Apacza. W pewnej odległości od otworu zatrzymaliśmy się i nadśluchiwalismy. Dokoła panowała niczym nie zmacona cisza.

— Co za szmer usłyszał mój brat? — szepnąłem wprost do ucha Winnetou.

— Kroki i odgłos rozmowy w pobliżu nas.

— Ale nikt nie nadchodzi! Musiało to być na którejś z najwyższych położonych platform.

— Nie. To było tuż za nami. Wiem dokładnie, że... — przerwał i zaczął nadśluchiwać. Po chwili rzekł szeptem:

— Schodzą na dół. Śpieszmy na drugą stronę!

Szybko dotarliśmy do lewego końca platformy i przyłgnęliśmy do muru. Prawie równocześnie ujrzeliśmy dwóch Indian. Nie skradali się, tylko szli normalnie, więc przy świetle ogniska mogliśmy ich dokładnie obejrzeć. Zeszli po drabinie i skierowali się na lewo, ostrożnie badając teren. Ze skrupulatności poszukiwań mogliśmy wnioskować, że niebawem dotrą do naszego kąta. Zbliżali się coraz bardziej. Odległość między nami zmniejszała się z

każdą sekundą. Czekaliśmy, aż podejda do nas zupełnie blisko, a wtedy skoczylibyśmy im do gardła. Lecz, niestety, przystanęli nagle i pochyliwszy się nisko wpatrywali w miejsce, gdzie byliśmy ukryci.

— Co tam leży? — zapytał jeden z nich.

— Człowiek! — odpowiedział drugi.

— Nie, to dwoje ludzi. — Kto tam? Pytanie było skierowane do nas. Nie odezwaliśmy się, pragnąc ich zwabić na jeszcze bliższą odległość.

— Czego tu chcecie? — zapytał pierwszy Indianin.

Wyciągnęli noże. Nie można było dłużej zwlekać, bo sytuacja przyjęła obrót nie tak pomyślny, jak przewidywaliśmy. Szybko zerwawszy się na nogi, rzuciliśmy się na wrogów. Uderzyłem jednego w ramię, tak że nóż wypadł mu z ręki, i sięgnąłem do gardła, lecz zdołał mi się wyrwać, odskoczył na kilka kroków w tył i wyciągnął przed siebie ręce, aby mnie powstrzymać. Straciłem kilka drogocennych chwil. Blask ogniska padł na mej twarzy. Czerwonoskóry poznał mnie zawołał na całe gardło:

— Na pomoc! Na górze jest Old Shatterhand!

Uderzyłem go pięścią w głowę. Upadł, pochyliłem się nad nim, przygniotłem kolaniem i rękoma uchwyciłem za szyję. Nie mógł już dobyć głosu, ale teraz usłyszałem za sobą sobą krzyki drugiego Indianina:

— Jest tu Winnetou! Na pomoc, na pomoc, na... — Nie dokończył, bo był już przy nim Apacz.

— Co z nimi zrobić? — zapytał mnie. — Nie mamy czasu ich wiązać.

— Przerzucmy ich przez krawędź, na pierwszy taras. Prędkiej, prędkiej!

Tam nie mogli nam już szkodzić. Czym prędkiej zwróciliśmy się ku otworowi. Wystawała z niego głowa, głowa Jonatana Meltona, który stał na drabinie, badając powód alarmu. Widząc, że się do niego zbliżamy, zawołał ogromnie przerażony:

— Do stu tysięcy diabłów! Winnetou i Old Shatterhand są tutaj!

Nie słyszeliśmy nic więcej. Głowa raptownie znikła. Jonatan błyskawicznie zbiegł na dół i ściągnął drabinę, abyśmy nie mogli zejść. Nie powiodło nam się zatem zaskoczenie młodego Meltona. Jednak nie zmartwiło to zbytnio: był zamknięty w pueblu i nie mógł nam uciec.

Krzyki zaalarmowały całe pueblo. Z otworów wyłoniły się kobiety i dzieci. Nawoływały mężów i ojców. Jedni stali nieruchomi ze strachu, inni ze zdumienia, jeszcze inni podbiegli do budowli, aby wdrapać się na górę i rzucić na nas. Wówczas Winnetou zawołał swoim dobitnym głosem:

— Tak, tu stoją Old Shatterhand i Winnetou! Wojownicy Jumów niech się nie wazą wejść do nas. Skoro tylko ukażą się na drabinie ich głowy, przestrelimy je na wylot. A także niech nie usiłują uciec przez szczelinę, albowiem u jej wylotu oczekuje ich pewna śmierć. Kobiety wraz z dziećmi niech się czym prędzej schronią do swoich legowisk i niech tam cicho siedzą.

Po tych słowach zapanowało głębokie milczenie. Nie mogliśmy dojrzeć, co się działo nad nami na wyższych piętrach, ale cisza, która zaległa, świadczyła, iż kobiety posłusznie spełniły rozkaz Apacza. Podobnie mężczyźni. Prawie nikt nie ośmielił się wejść na drabinę. Winnetou krzyknął na nielicznych śmiałków:

— Natychmiast wracajcie do ogniska! Kto nie usłucha, dostanie kulą w serce!

Jumowie znali wodza Apaczów. Mieli taki respekt przed nim i przed jego srebrną strzelbą, że czym prędzej pobiegli w stronę ogniska. Kiedy już wszyscy się tam znaleźli, rzuciłem pytanie:

— Kto jest waszym przywódcą? Niech wystąpi na kilka kroków, bo Old Shatterhand chciałby z nim pomówić.

Upłynęła chwila, nim jeden z Indian ociągając się wystąpił kilka kroków naprzód i zawołał:

— Nie ma już przywódcy między nami. Każdy znaczy tyle samo, ale mimo to chcę posłuchać, co Old Shatterhand ma nam do powiedzenia.

— Przedtem jednak zatrzymaj się i zobacz, co uczynię. Spójrz na sęk drzewa, które wychyla się z ognia. Za chwilę zniknie.

Przyłożyłem niedźwiedziówkę i wycelowałem. Trudno było trafić przy niepewnym migającym świetle. A jednak bez obawy odwiódłem kurek i wypaliłem. Sęk został tak rozcięty, że ułamek poleciał ku skałom.

— Uff, uff! — rozległy się głosy zdumionych Indian.

— Widzieliście, jak pewnie trafiają nasze kule? — zawołałem. — Tak samo mogą dosięgnąć waszych serc i głów, o ile nie spełnicie naszych życzeń.

— Czego żąda od nas biały brat? — zapytał Juma.

— Bardzo niewiele. Nie przyszliśmy do was jako wrogowie, nie chcemy was zabijać ani zranić, ani tym bardziej zabrać waszej własności. Nie chcemy od was niczego, prócz dwóch białych, którzy się tutaj ukryli.

— Dlaczego chcecie ich schwytać?

— Ponieważ zbrodnie, które popełnili, wymagają kary.

— Nie możemy na to pozwolić, gdyż przyrzekliśmy, że ich nie wydamy.



— Nie żądam, aby wojownicy Jumów złamali przyrzeczenie. Co jeszcze im przyrzekliście?

— Nic więcej.

— Więc powiadam wam, że wywiążecie się z danego słowa. Albowiem nie wydacie ich nam, lecz my sami ich schwytamy. A może zobowiązaliście się białych bronić, o ile uda nam się wślizgnąć tu skrycie?

— Nie, nikt nie przypuszczał, że ty... Uff, uff!

Przerwał mowę okrzykami strachu, gdyż w tej chwili zdarzyło się coś, co istotnie mogło go przerazić. Otóż Emery usłyszał mój wystrzał. Nie chciałem go właściwie przywoływać, gdyż obylibyśmy się bez jego pomocy, ale on, zgodnie z umową, wtargnął do szczeliny, jednym śmiałym susem przesadził płonące ognisko i wdarł się pomiędzy szeregi Jumów, oszołomionych nagłym zjawieniem się odważnego Anglika. Spojrzał w górę i zawołał do nas, wywijając strzelbą:

— Charley, co mam robić? Czy trochę postraszyć tych drabów?

— Nie, to nie jest konieczne. Dogadamy się z nimi. Ale chodź tu do nas na górę!

— Aby mnie zastrzelili, gdy będę się wdopywał po drabinie?

— Nikt nie będzie strzelał. Jeśli ktokolwiek ośmieli się podnieść flintę, na miejscu padnie trupem od mojej kuli. A zatem chodź!

Usłuchał i wszedł szybko po drabinie. Jumowie byli wystarczająco przerażeni naszą niespodzianą obecnością w pueblu, nagłe zaś zjawienie się Emery'ego zaskoczyło ich do reszty. Ani nawet przez myśl im nie przeszło sięgnąć po flinty, zresztą tak kiepskie, że w czasie nocy nie mogły nam nic złego wyrządzić. Emery, gdy tylko dotarł do naszej platformy, rzekł:

— Widzę, żeście szczęśliwie zeszli. Czy wiecie, gdzie są Meltonowie?

— Tak. Ale poczekaj, muszę jeszcze zakończyć sprawę z Indianami — odparłem i zwróciwszy się do nich, zawołałem: — Moi bracia widzieli, że nie boimy się ich, że wręcz przeciwnie, przewaga jest po naszej stronie. Tak samo wiedzą, że żądamy od nich jedynie białych. Czy pozwolą nam odjechać z nimi, nie stawiając żadnych przeszkód?

— A więc nic od nas nie żądasz? — zapytał mówca.

— Nie.

— A może żądasz wydania białej squaw, która tu mieszka?

— Nie.

— Była żoną naszego wodza i musimy jej bronić.

— Wcale jej nie chcemy. Nie pozbawimy was tego skarbu.

— A pozostawicie jej wszystko, co do niej należy?

— Tak. Jej własności nie dotkniemy.

— A więc jesteście gotowi zawrzeć z wami ugody. Gdzie wypalimy fajkę pokoju?

— U nas, na górze.

— Czy wszyscy mamy tam wejść?

— Nie. Wystarczy, że przyjdiesz sam jeden. Przemawiałeś w imieniu swoich braci i będziesz w ich imieniu palił. A zatem wejdź i przynieś ś kalumet!

Ani mi się śniło wpuszczać tu całej gromady, nie popełniłbym takiej ostrożności. Juma przyszedł sam. Zdjął z szyi zawieszoną na rzemyku fajkę, wyjął tytoń z woreczka za pasem. Usiadłszy w kręgu, puściliśmy fajkę w obieg. Aczkolwiek skróciliśmy maksymalnie czas ceremonii, to jednak z chwilą gdy zawartość fajki uszła z dymem, mogliśmy być pewni że Indianie nie pogwałcą ugody. Tym bardziej że Juma podniósł się i przemówił uroczystym głosem:

— Tak oto został zawarty pokój między nami i wami. Dochowamy go wiernie. Jest was tylko trzech, a nas wielu, a jednak dostaliśmy się w wasze ręce, gdyż nie posiadamy takiej zaczarowanej broni jak Old Shatterhand. Czy moi bracia rzeczywiście dotrzymają danego słowa i nic złego nam nie wyrządzą ani niczego nam nie zabiorą?

— Tak — potwierdziłem — dotrzymamy słowa.

— Dam wam zatem dowód naszego zaufania. Wojownicy Jumów przyniosą tu wszystkie flinty i noże i wam oddadzą. Będziecie wówczas pewni, że jesteśmy naprawdę usposobieni pokojowo.

— Mój czerwony brat niech wyda rozkaz. Poza tym pragniemy, abyście podsycali ognisko do rana i aby się żaden z was od niego nie oddalał. Czy przystajecie na to?

— Tak.

— Powiedz też nam, jak jest najłatwiej schwytać młodego białego?

— Nie, tego wam nie powiem, bo przyrzekliśmy nie wydać ani jego, ani jego ojca. A odpowiedź na twoje pytanie byłaby złamaniem przyrzeczenia.

— Przyznaję ci słuszność. Ale chyba możesz mi powiedzieć, gdzie są nasze konie?

— Pasą się nie opodal pod drzewami, gdzie zalega mrok.

— Czy wypróżniono nasze torby przy siodłach?

— Tak.

— Kto zabrał rzeczy, które tam były?

— Obaj biali, których chcecie pojmać.

— Wraz z końmi schwytałiście naszego młodego towarzysza. Czy jest ranny?

— Nie.

— Gdzie go umieszczono?

— Młody biały jest uwięziony tutaj w pueblu.

— Gdzie?

— Nie wiem.

— Czy mówisz prawdę? Wszak musisz to wiedzieć!

— Nie. Nie powiedziano nam. Widzieliśmy tylko, że przebył dwie drabiny.

— A zatem aż do tego tarasu?

— Tak. A potem musiał zejść przez otwór do mieszkania białej squaw.

— Czy jest tam komórka, nadająca się na celę jeńca?

— Nie. Jest tam tylko mieszkanie. Być może, umieszczono go o drabinę niżej.

— Musielibyście to jednak zobaczyć!

— Nie, bowiem z tego piętra prowadzi otwór na parter.

— Gdzie znajduje się ten otwór?

— Z prawej strony, w ostatnim pokoju, tam gdzie jest kuchnia białej squaw.

— A gdzie ona zwykle sypia?

— W przedostatnim pokoju. Powiedziałem już wszystko, co mogłem. A teraz każę przynieść wam broń.

Oddalił się, aby wydać odnośne rozkazy. Wydanie broni z własnej woli rozproszyło resztki naszej nieufności. Nie trzeba chyba podkreślać, że bez przerwy obserwowaliśmy wejście do mieszkania Judyty. Siedzieliśmy w pobliżu i Jonatan Melton mógł wdrapać się w każdej chwili na drabinę i posłać nam parę kul. Muszę dodać, że obaj Indianie, których rzuciliśmy na niższą platformę, już dawno zeszli na dół i przyłączyli się do swoich towarzyszy. Nie ponieśli jednak żadnych szkód na ciele.

Przyniesiono broń i złożono obok nas. Niebawem zostaliśmy sami i mogliśmy pomyśleć o uwolnieniu Vogla i schwytaniu Jonatana Meltona.

Opowiedziałem też Emery'emu, jak to dostaliśmy się do puebla i obezwładnili starego Meltona. Następnie ustaliliśmy plan działania.

— Musimy koniecznie zejść na dół — powiedziałem — a ponieważ trzeba będzie zakradać się i szukać, w czym Winnetou jest mistrzem, więc uważam, że powinien pójść ze mną, ty zaś zostaniesz tutaj na górze. Zostawiamy ci strzelby.

— Co? Nie zabierzecie ich z sobą?

— Nie. Trzeba będzie zapewne wspinać się i czołgać, a strzelby mogą nam tylko zawadzać.

— A jeśli dojdzie do walki z Jonatanem Meltonem?

— Do takiej walki nie potrzebujemy strzelb. Jest nas dwóch na jednego, posiadamy do tego noże i rewolwery. A teraz zobaczę, jak przedstawia się sytuacja na dole.

Zdjąłem kapelusz, wsunąłem głowę do otworu i mocno trzymając się jego brzegów, maksymalnie wychyliłem się na długość rąk. Winnetou i Emery trzymali mnie, abym nie mógł spaść. Wisząc tak głową w dół, mogłem obejrzeć pokój. Zobaczyłem ławkę, na której poprzednio siedzieli Jonatan i Judyta, stół i dwa krzesła. Nad stołem wisiało lustro. To aż nazbyt skromne umeblowanie można było w owych warunkach uważać za wykwintne. Oba otwory, które prowadziły na prawo i lewo, były zawieszane jaskrawymi makatami. Za zasłoną, na prawo mieszkała Judyta, a na lewo Jonatan. Naraz spostrzegłem, że zasłona z prawej strony drgnęła i ukazała się tam ręka kobieca z rewolwerem. Szybko uchyliłem głowę — potem rozległ się strzał. Naturalnie, zdążyłem się na czas wycofać.

— Do diabła, to było bardzo ryzykowne z twojej strony! Kto strzelił? —zapytał Emery.

— Judyta.

— Jeszcze chwila, a miałbyś dziury w głowie! Gdzież jest ta kobieta?

— Za zasłoną w sąsiednim pokoju.

— A Jonatan?

— Nie widziałem go. Myślę, że czatuje z drugiej strony.

— Fatalna sytuacja!

— Skoczę na dół — zdecydowałem.

— Strzelą do ciebie z obu stron!

— Trudno, muszę nadal ryzykować. Ale prawdopodobnie poruszam się szybciej niż oni. Lampa stoi na stole. Jeśli zdążę ją zgasić, to na pewno mnie nie trafią. Przyniesicie drabinę. Kiedy zawołam z dołu, wsadźcie ją w otwór i niech Winnetou zejdzie.

— Ale czy rozumiesz, że skacząc możesz ponadto złamać kark?

— Nie z takiej wysokości! Zsunąwszy nogi z brzegów otworu, spadłem w postawie stojącej na czubki palców. Błyskawiczny krok ku lampie, którą zgasiłem, dwa kroki w tył — i oto padł strzał z rewolweru. To Judyta strzeliła ponownie i trafiłaby mnie niechybnie, gdybym o sekundę dłużej marudził koło stołu. Teraz trzeba było uciec się do wybiegu. Padłem z hałasem na podłogę i zacząłem jęczeć, chcąc w ten sposób zwabić Jonatana. Tymczasem nabrałem na to Judytę.

— Boże wielki, trafiłam w niego! Czy jest pan ranny?

— Jęczałem i rzeziłem.

— On umiera, kona! Zabiłam go! Światła, światła! — krzyczała.

Ze słów jej wynikało, że nie zamierzała mnie wcale trafić. Sądziłem, że wejdzie i zapali lampę, lecz usłyszałem po chwili, jak oddała się w głąb mieszkania. Podniosłem się więc szybko i wbiegłem do pokoju, gdzie poprzednio stała Judyta. Z mroku, przez zasłony przebijało się słabe światło z dalszego pokoju i coraz bardziej zbliżało się w moją stronę. Wnet uchyliła się zasłona i oto miałem przed sobą Judytę z lampą glinianą w ręce. Wlepiwszy we mnie rozszerzone ze zdumienia oczy, wypuściła trzymany w drugiej dłoni rewolwer.

— Dobry wieczór! — przywitałem ją. — Wszak wybacz seniora, że odwiedzam panią w jej mieszkaniu.

— To... to... to... pan stoi? — zawołała.

— Naturalnie! A może pani uważa, że powinienem usiąść?

— Pan... pan... pan leżał tam w drugim pokoju — jąkała się nadal. — Słyszałam przecież, jak pan upadł.

— I ja to słyszałem.

— Sądziłam, że pan umiera... A oto... stoi pan przede mną! Nie jest więc pan ranny?

— Jak widać, nie!

— Lecz dlaczego rzeził pan tak okropnie?

— Mam zwyczaj robić to dla rozrywki.

— Ja chciałam pana... tylko przestraszyć.

— To dziwne. I mam w to uwierzyć?

— Może mi pan wierzyć, mówię prawdę! Chciałam jedynie pana zatrzymać.

— A gdy już zszedłem, strzelała pani do mnie. Seniora, o tym pomówimy później. A teraz proszę mi powiedzieć, gdzie jest mister Jonatan Melton. Chcę się z nim spotkać.

— Tutaj go nie ma.

— Zaprzecza pani? Muszę go zatem sam poszukać.

— Niech pan szuka!

— Zechce mi seniora łaskawie poświecić.

— Nie jestem pańską służącą. Ma pan lampę!

Podawała mi małą lampkę w kształcie urny. Potrząsnąłem głową, mówiąc:

— Pani jest u siebie w domu, a ja tu obcy. Muszę zatem prosić seniore, aby mnie prowadziła.

— Na próżno pan prosi!

— A jednak pani przychyli się do mej prośby...

— Chodźmy! Oświadczam jednak, że nie ma tu nikogo — wzruszyła ramionami i poszła przodem oświetlając drogę.

W głosie jej brzmiała prawdomówność, a przecież Melton musiał tu być. Zaprowadziła mnie przez swoje pokoje na prawo. Jeśli brać pod uwagę miejscowe warunki, to należy przyznać, że urządzenie mieszkania nie pozostawiało nic do życzenia. Za każdą zasłoną spodziewałem się Meltona. Jednak tutaj go nie było. Następnie poprowadziła mnie na lewo, a zatem do mieszkania Jonatana. Nietrudno było poznać, że przedtem mieszkał tu wódz indiański. Ale i tutaj Meltona nie znalazłem.

— I cóż, ma go pan? — zapytała triumfująco.

— Dotychczas nie. Schował się gdzieś. Nie spocznę jednak, dopóki go nie znajdę.

— W takim razie współczuję, nigdy bowiem pan nie spocznie. Mr. Meltona nie ma tu od wielu godzin.

— A gdzie jest?

— Czy ja wiem? Nie ma go tutaj, nie ma go w pueblu i nie ma go w ogóle w tej okolicy.

— A widziałem go pół godziny temu.

— Nieprawda!

— Słyszałem też, jak rozmawiał z panią, tam na ławce pod otworem. Wróćmy tam! Będzie pani miała zaszczyt oglądać w swoich progach jeszcze kogoś.

Gdy znaleźliśmy się w pierwszym pomieszczeniu, przywołałem Winnetou. Spuścił drabinę i zszedł na dół. Nie raczył nawet rzucić okiem na Judytę; spoglądał na mnie zatroskany, wreszcie spytał krótko:

— Jonatan Melton?

— Nie znalazłem go.

— Poszukajmy razem.

Wziąłem z rąk Judyty lampę i udaliśmy się na ponowne poszukiwania. Judyta szła za nami. Poszliśmy z początku na lewo, do pokoiw Jonatana. Opuszczam opis tego mieszkania, gdyż nie przedstawia nic ciekawego. Nie zaglądało tu nigdy światło dzienne i nie mógłbym powiedzieć, którędy dopływało powietrze. Nie znalazłszy lokatora, przeszliśmy na prawą stronę.

Uwagę Apacza zwróciło to samo, co i mnie wydało się podejrzane. Indianin powiedział nam poprzednio, że sypialnią białej squaw jest przedostatni, a kuchnią ostatni pokój. Istotnie, była tam w głębi kuchnia. W kącie widniało coś w rodzaju paleniska, ulepionego z gliny, a nad nim w powale dziura, przez którą ulatywał dym. Było tu mnóstwo talerzy, filiżanek, misek i innych naczyń. W drugim kącie znajdowało się łóżko, składające się z materaca, wielu skór i kołder. W przedostatnim pokoju wisiała odzież. Na stoliku stały przybory

toaletowe, a na podłodze leżały porozrzucane rozmaite drobiazgi. Ten nieład wydawał m się nienaturalny.

— Cóż? — zapytała Judyta. — Wielki i słynny wódz Apaczów jest tu również. I coście znaleźli? Nic!

— Rzeczywiście nic — odpowiedziałem.

— A utrzymywał pan, że jest na tropie.

— Wkrótce nim podążymy.

Staliśmy w przedostatnim pokoju. Winnetou był zbyt dumny, żeby zwrócić się bezpośrednio do Judyty, rzekł więc do mnie, tak aby i ona słyszała:

— Gdyby ta squaw była mężczyzną, Winnetou dałby jej godną odpowiedź. Niech mój brat poda lampę.

Wziął lampę. Nachyliwszy się, oświetlił podłogę i zapytał:

— Czy mój brat uważa, że te rzeczy zawsze się tak poniewierały?

— Nie. Porozrzucano je niedawno.

— Po co?

— Aby zapełnić przestrzeń. Aby nie było widać, czego tu właściwie brak.

— Mój brat ma słuszość. Niech spojrzy na ten kąt podłogi. Co tani widzi?

— Długi prostokąt inaczej zabarwiony.

— Jakich rozmiarów?

— Tak właśnie długi i szeroki jak łóżko, które teraz stoi w kuchni.

— Słusznie! A zatem było tu łóżko i squaw na nim sypiała. Dlaczego tak nagle przeniosła je do kuchni?

— Aby zakryć coś, czego nie powinniśmy widzieć.

— Tak jest. Old Shatterhand pójdzie ze mną do kuchni.

W kuchni Winnetou sięgnął po kołdry, aby je usunąć z posłania, ale wówczas Judyta krzyknęła:

— Panowie, co to wszystko znaczy? Mam nadzieję, że uszanujecie łóżko kobiety!

— Oczywiście — odparłem. — Dlatego chcemy je umieścić na właściwym miejscu.

Przecież nie sypiała pani tutaj w kuchni.

— Owszem.

— Na drabinie?

— Dlaczego na drabinie? Jak pan to rozumie?

— Mam naturalnie na myśli drabinę, której szukamy. Poza tym nie zadałem jeszcze pani ważnego pytania. Gdzie jest młody senior, który został tu uwięziony?

— Nie wiem. Pytajcie o to mężczyzn.

— Przecież wprowadzono go do pani mieszkania.

— Nic o tym nie wiem!

— Jeśli seniora istotnie nie wie, to my pani powiemy. Ten młodzian znajduje się pod pani łóżkiem.

Rzuciła się na posłanie i zawołała:

— Nikt nie ośmieli się tu zbliżyć! To grubiaństwo, to ordynarna napaść!

— Niech pani wstanie!

— Nie! Ustąpię tylko przed przemocą. Już raz chciał mnie pan wychłostać. Uczyń to teraz!

Nie zamierzałem używać przemocy, ale cóż miałem robić z tą kobietą? Wyręczył mnie Winnetou, który mimo poważnego charakteru miewał dowcipne pomysły. Rzekł tedy spokojnie:

— Jeśli squaw nie zejdzie z własnej woli, to spluczemy ją wodą.

Wziął wielkie gliniane naczynie, tak ciężkie, że ledwo je dźwignął z ziemi, i zbliżył się do łóżka.

— O rety! On chce mnie oblać wodą!— krzyknęła Judyta i zerwała się na równe nogi.

Winnetou nie zdążył jeszcze odstawić na miejsce dzbana, gdy usunąłem na bok posłanie. Ujrzelśmy to właśnie, czegośmy się spodziewali. Prowadził stąd na dół, na parter otwór. Był on teraz przysłonięty pokrywą z klocków związanych rzemieniami.

— Cóż, seniora, czy wątpi pani, że drabina niebawem się odnajdzie? — zapytałem.

Nie odpowiedziała. Podnieśliśmy pokrywę. W otworze tkwiła drabina.

— Otóż i ona! Widzi pani, że wiedziałem, gdzie należy szukać śladu. Będzie pani łaskawa nas wyprzedzać!

— Ani myślę! Niech pan idzie sam!

— Jeślibyśmy zostawili panią na górze, mogłabyś nam spłatać jakiegoś figla.

— Nie pójdę z wami!

— Zmusza mnie pani, abym, podobnie jak kilka godzin wcześniej, ujął seniorę za ramię. Bowiemy w tym wypadku nie możemy splukać pani wodą na dół.

Podeszła do otworu i zawołała z wściekłością:

— Niech mnie pan nie dotyka! Niechętnie zaczęła schodzić w dół.

Podążyłem za nią z lampą w rękę, a za mną szedł Winnetou. Na dole powietrze było wilgotne, jak gdyby stęchłe. Stanęliśmy przed długim, wąskim korytarzem.

— Dokąd prowadzi ten korytarz, seniora? — zapytałem.

— Niech pan sam sprawdzi — odparła z przekąsem.



Gliniane ściany nie miały żadnych otworów. W połowie korytarza zobaczyliśmy miejsce, gdzie podłoga nie była udeptana z ziemi, ale sklecona z grubych mocnych belek. Ukłakłem i usunąłem dwie czy trzy belki.

W głębi lśniła powierzchnia wody. Przy pomocy jednej z belek zbadłem jej głębokość, która wynosiła dwa łokcie.

— Uff! Czy mój brat widział cysternę przed pueblem? — zapytał Apacz w narzeczu Siuksów.

— Tak.

— Stoimy w korytarzu, który przebiega przez całą szerokość puebla. Czyżby ta woda łączyła się z cysterną?

— Prawdopodobnie.

— W takim razie łączy się również z rzeką. A więc tędy można dotrzeć do Flujo Blanco.

— Tak jest, to tędy właśnie ulotnił się młody Melton.

— Należy zmusić squaw, aby wyznała nam prawdę.

— Czy aby potrafimy ją zmusić? — zapytałem z powątpiewaniem w głosie.

— Jeśli... Słuchaj! Czy brat mój nie słyszał jęku?

— Nie.

— Dobiegł z głębi korytarza.

Ułożyłem deski na pierwotnym miejscu i podjęliśmy dalsze poszukiwania. Tak, teraz usłyszałem wyraźne jęki. Przyśpieszyliśmy kroku, nie zwracając uwagi na Judytę, która została za nami. Pomyślałem o Voglu, stąd ten pośpiech i ta karygodna nieostrożność. Istotnie, leżał tu spętany i przywiązany do wbitego w ziemię kołka. Obwinięto mu usta i nos starą chustą, tak że nie mógł krzyczeć, tylko stękać i ledwo oddychać. Oczywiście, natychmiast usunęliśmy knebel. Odetchnął głęboko, po czym zawołał:

— Bogu dzięki! Widziałem, jak wchodziliście do korytarza i obawiałem się, że nie doszedłszy do tego miejsca, wrócicie na górę. Proszę was, uwolnijcie mnie szybko z rzemieni.

Przecieliśmy pęta. Podniósł się i wyprostował zbolale członki. Chciał coś powiedzieć, lecz mu przerwałem.

— Chwała Bogu, że jest pan cały i zdrowy. Potem opowie pan nam swoje przeżycia. Musimy się śpieszyć. Chodźmy! Jak widzę, Judyta nas ubiegła — krzyknąłem nagle.

Po dojściu do końca korytarza zobaczyliśmy, że nie ma drabiny. Spojrzeliśmy porozumiewawczo po sobie.

— Co mój brat na to powie? — zapytał Winnetou z lekkim uśmiechem na ustach.

— Zrobiliśmy głupstwo!

— Nie możemy stąd wyjść — żalił się Franciszek. — Jesteśmy zatem uwięzieni!

— Nie — odparł Winnetou. — A gdyby nawet, to nie na długo. Musimy się przekonać, czy można otworzyć pokrywę.

— Nie dosięgniemy do niej, bo nie ma drabiny.

— Sami utworzymy drabinę — odparłem. — Odzyskał pan już władzę w członkach? Czy jest pan wygimnastykowany?

— Tak.

— Ja uklęknę, Winnetou stanie na moich barkach, a pan na jego ramionach. Wówczas sięgnie pan do pokrywy i spróbuje ją podnieść.

Próba niestety nie powiodła się. Rozzłoszczona Judyta wróciwszy na górę, zabrała drabinę i przycisnęła pokrywę jakimś ciężarem, skoro Franciszek nie mógł jej unieść.

— Co robić? — zapytał nasz wirtuoz. — Ledwo odzyskałem wolność, znów jestem uwięziony.

— Sir Emery czeka na górze. Jeśli nie wrócimy, zejdzie po nas.

— A jeśli Judyta oszuka również i jego?

— To zostanie nam droga przez wodę.

— Przez jaką wodę? — zdziwił się Vogel.

— Czy nie wie pan, że przez środek korytarza pod podłogą płynie woda?

— Nie.

— Łączy się prawdopodobnie z rzeką. Sądzę, że Jonatan Melton uciekł tą drogą.

— Co? Jak? Kiedy to się stało?!

— Przeszło godzinę temu.

— Ach, w tym właśnie czasie zobaczyłem światełko i usłyszałem cichy szept. Nie mogłem zrozumieć słów ani też poznać osób. Zdawało mi się, że było ich dwoje.

— Tak. To była Judyta i Jonatan Melton. Fatalna okoliczność, lecz ma ona także i swoją dobrą stronę, gdyż daje nam wyjście z obecnej sytuacji. Nie będziemy czekać, aż sir Emery, zaniepokojony zbyt długim oczekiwaniem uda się na nasze poszukiwanie, lecz bezzwłocznie wyruszymy stąd przez wodę. Mamy jeszcze dosyć oliwy w lampie, aby nam przyświecała. Później będziemy się posuwać naprzód po omacku, co jest o wiele trudniejsze, albowiem nie znamy drogi. Czy Winnetou akceptuje moją decyzję?

Apacz zgodził się ze mną.

Wróciliśmy do środka korytarza. Zdjąwszy obuwie oraz zabezpieczywszy przed zamknięciem rewolwery i inne przedmioty, weszliśmy do dość płytkiej wody, która nie sięgała nam nawet do piersi.

Wyprzedzałem towarzyszy, oświetlając drogę. Musieliśmy się schylać, aby nie rozbić głów o skałę. Przed ilu wiekami został zbudowany ten kanał. Doskonale się zachował. Powietrze było tu złe, ale nie na tyle, aby mogło nam szczególnie dokuczać. Jeśli się nie myliłem, to kanał prowadził do puebla pod szczeliną. Musieliśmy zatem przebyć pod ziemią tę samą drogę, którą przebył poprzednio Emery spiesząc się do kotliny.

Wędrówka nasza nie była ani krótka, ani też łatwa. Mieliśmy jednak rację sądząc, iż kanał ten łączy się z Flujo Blanco. Po dwóch kwadransach wydostaliśmy się na brzeg rzeki, nieopodal wylotu szczeliny prowadzącej do puebla. Gęsiego przeszliśmy przez wąski korytarz, mineliśmy osłupiałych ze zdziwienia Indian siedzących wokół ogniska i znaleźliśmy się u stóp budowli.

Po drabinie, przystawionej do parteru puebla, weszliśmy na górę, a później dalej na pierwsze piętro. Nie trudno sobie wyobrazić zdziwienie Emery'ego.

Stał na warcie przed wejściem do mieszkania Judyty. Wypatrywał nas oczywiście z otworu, gdy tymczasem my przybywaliśmy z zewnątrz. Wyszedł nam na spotkanie i zaskoczony zawołał głośno:

— Wy tutaj!? I nawet mister Vogel?...

— Ciszej! — przerwałem mu. — Nie krzycz tak! Judyta nie powinna słyszeć. Czy widziałeś ją od czasu, jaki rozstaliśmy?

— Tak, na dole w jej mieszkaniu.

— Czy nie zauważyłeś nic podejrzanego?

— Nie. Zapaliła lampę, którą ty zgasiłeś.

— A czy nasza nieobecność nie wydała ci się zbyt długa?

— Owszem. Ale chyba mieliście sporo roboty. Co się zdarzyło? Musieliście zapewne odkryć tajemne przejście.

— Tak jest. Piękna Judyta podeszła nas. Wpadliśmy w zasadzkę i zdziwiłbym się bardzo, gdyby nie próbowała i ciebie w nią złapać.

Opowiedziałem mu naszą przygodę i dodałem:

— Ukryjemy się przed nią. Jestem przekonany, że z kolei na ciebie szykuje jakąś pułapkę. Jestem ciekaw jaką.

Oddaliłem się wraz z Winnetou i Voglem do miejsca, gdzie leżała broń Jumów.

Stało się tak, jak przypuszczaliśmy. Niebawem Judyta weszła na górę i poszukała Emery'ego. Stał bowiem w pewnej odległości od otworu.

— Senior! — zawołała. — Przywódca Jumów ma przyjść do mego mieszkania wraz z trzema Indianami.

— Kto tak rozkazał?

— Senior Old Shatterhand. Jest na dole przy seniorze Meltonie.

— Dlaczego panią tu wysłał? Mógł mi sam to powiedzieć.

— Nie ma czasu. Panowie muszą omówić bardzo ważne sprawy. Rozmawiają, zdaje się, o spadku.

— Cóż mają z tym wspólnego Indianie?

— Nie wiem. Old Shatterhand polecił mi powiedzieć, aby się pan śpieszył!

— Dobrze! Niech mu pani powie, że wojownicy wkrótce nadejdą.

Wróciła do siebie. Emery podszedł do nas i zapytał:

— Co się za tym kryje?

— Łatwo odgadnąć. Jest pewna, że znaleźliśmy się w potrzasku i chce także ciebie obezwładnić. Kazała zawołać wojowników, aby skłonić ich do napaści na ciebie.

— Ale w jakim celu? Cóż jej z tego przyjdzie, że będzie nas miała schwytyanych?

— Wiele, bardzo wiele! Wyśle w ślad za Jonatanem gońca, który zawróci go z drogi.

— Musiałaby wiedzieć dokąd czmychnął.

— Naturalnie, że wie!

— Szkoda, że my tego nie wiemy! — Zasepił się Emery.

— Dowiemy się podstępem.

— Jak?

— Podam się za Tomasza Melona.

— To niemożliwe! Wszak zna ciebie, nie wprowadzisz jej w błąd.

— Judyta nie wie jeszcze, że schwytaliśmy starego Meltona. Za wszelką cenę chce zawiadomić go, gdzie jest jego syn. Dzięki temu dowiem się o wszystkim.

— Nie pojmuję, jak się do tego weźmiesz.

— Chodźmy do niej! Jestem ciekaw, z jaką miną mnie powita. Powiedz jej z początku, że chcesz mówić ze mną.

Zeszliśmy na dół. Emery wyprzedzał mnie. Zatrzymałem się przed zasłoną, on zaś odsunął ją i wszedł do pokoju.

— To pan, senior? — rzekła. — Oczekuję Indian. Kiedy przyjdą?

— Nic im jeszcze nie powiedziałem.

— Dlaczego nie? — zapytała z nie i ukrywanym zniecierpliwieniem. Seniorowi Old Shatterhandowi bardzo się śpieszy!

— Chciałem wpierw z nim pomówić. Gdzie jest?

— Tam, w drugim pomieszczeniu — wskazała ręką za siebie.

— Proszę mnie do niego zaprowadzić.

— Nie uczynię tego, gdyż mi zabronił.

— W takim razie pójdę sam.

— Nie znajdzie go pan!

— Natychmiast znajde, natychmiast! Czy mam pani tego dowieść?

— Tak.

— Dobrze, seniora! Oto i on!

Uchylił kotarę, wziął mnie za rękę i wciągnął do pokoju. Ujrzawszy mnie, Judyta stanęła jak wryta.

— Widzi pani — rzekłem — ledwo zostałem zamknięty w podziemiach, a już znowu tu jestem, chociaż nie byłaś tak łaskawa, aby spuścić drabinę. Cieszy się pani zapewne, że widzi mnie w dobrym zdrowiu?

— Tak, tak, cieszę się. Nadzwyczaj się cieszę! — zawołała, ściskając pięści i zagryzając wargi.

— Muszę podwoić pani radość, oznajmiając, że i Winnetou, i senior Vogel przebywają nad ziemią. Podziemny kanał uwolnił nie tylko pani narzeczonego, ale także i nas. Stary Melton również uciekł!

Ostatnie zdanie umyślnie powiedziałem wściekłym głosem.

— Też? — zapytała, błyskając oczami z radości. — Skąd pan to wie?

— Jego gniazdko świeci pustką.

— Czy znał je pan?

— Tak. Jest nad panią, na wyższym piętrze. Nie przybyliśmy tu przez szczelinę, tylko opuściliśmy się na kilku związanych lassach. I właśnie w chwili gdy nas zauważono i zawołano na alarm, stary Melton stał na dole przy ognisku. Czym prędzej uciekł z puebla przez ów wąski korytarz.

— To wspaniale — triumfowała. — Potem syn jego umknął kanałem, spotkali się na pewno i drapnęli razem.

— Dokąd?

— To wie tylko on i ja. Ma pan wyjątkowo kiepski dzień. Jonatan i jego ojciec uciekli razem z pieniędzmi.

— A więc wie pani, dokąd skierował się narzeczoney?

— Oczywiście; wiem dokładnie, gdzie będzie na mnie czekał!

— Ale wie to nie tylko pani, bowiem ja również wiem coś niecoś.

— Pan? Widzę, że ponosi pana fantazja. To miejsce znamy tylko my dwoje.

— Troje! Niech i mnie seniora doliczy. Zanim opuszczę pueblo, wymienię pani tę miejscowość.

— Nic podobnego, sir. Domyślam się, do czego pan zmierza. Ale tym razem przeliczył się pan, i to bardzo! Pieniądze się wymknęły. Jonatan zbiegł ze swymi i ojciec ze swymi. Tak, gdyby pan chociaż starego złapał! Wystarczyło mu tylko ściągnąć buty. Schował swoją część spadku między podwójnymi cholewami.

— Psiakrew! — zawołałem celowo, ja, który nigdy nie klnę. — Między cholewami? Wszak starego mogłem już niejednym razem złapać. To pech, fatalny pech!

— Tak, to pech i nie uwierzy pan, jak bardzo się z tego cieszę! Nienawidzę pana! Raduje mnie niezmiernie fakt, że stoi senior jak lis przed pustym kurnikiem. A najbardziej cieszę się z tego, że nigdy już nie ujrzy pan Meltonów!

— Zbyt wczesna jest pani radość, albowiem tak długo będziemy im deptać po piętach, aż schwytamy.

To nie nastąpi nigdy! O tym już pomyślano!

— Nie jest tak źle, została nam przecież jeszcze pani.

— Ja? Cóż panu po mnie? Jestem uboga. Nie posiadam już prawie nic. Z jakiego więc powodu chce mnie pan zatrzymać?

— Bo jest pani współwinną w przestępstwach Meltonów. Zatrzymam seniorę i każdą strzec, dopóki nie zakończymy tej sprawy. Potem może pani sobie iść, dokąd zechce, nawet za swoim Jonatanem. A w tej chwili jestem ciekaw, jak zabarykadowała pani otwór w kuchni.

Z lampą w ręku wszedłem do środka. Na pokrywie zamykającej otwór stało łóżko, a na nim drabina, tak wsparta o powałę, że w żaden sposób nie zdołalibyśmy usunąć pokrywy.

— Świetnie pani sobie poradziła — rzekłem. — Gdyby na dole nie było kanału, moglibyśmy tam tkwić do sądnego dnia. Odtąd będziemy pani pieczołowicie strzegli. Emery — zwróciłem się do Anglika — zostaniesz tutaj, dopóki cię nie zlujemy. A nie spuszczaaj tej pięknej seniory z oka!

Spojrzał na mnie zdziwiony. Mrugnąłem do niego porozumiewawczo i wyszedłem.

Na górze poprosiłem Winnetou, by poszedł ze mną do starego Meltona. Musieliśmy wspiąć się o piętro wyżej i przystawiwszy drabinę do otworu w platformie, zejść na dół. Znalazłem po omacku lampę i zapaliłem ją. Melton wrócił już do przytomności, a stół, do którego był przywiązany, trzeszczał pod nim dość głośno.

Wyjęliśmy mu knebel z ust. Zaklął siarczyście i rzekł:

— A więc dobrze słyszałem! Shatterhand i Winnetou!

— Tak, nie omylił się pan, mi Melton — odparłem. — Gdzie są pieniądze, które zabrałeś bratu?

— Nie mam ich.

— Zagrabił je pan! Widzieliśmy na własne oczy. Pański brat to potwierdził.

— Czy mówił coś jeszcze?

— Tak. Przeklął was przed śmiercią. A zatem, gdzie są pieniądze?

— Co panu do tego?!

— Pieniądze te są własnością prawowitego spadkobiercy starego Huntera.

— Pokaż mi tego spadkobiercę!

— Mógłbym.

— Mógłbyś, ale nie możesz! — roześmiał się złośliwie.

— Mogę — poprawiłem się. Mister Vogel jest wolny. Wyprowadziliśmy go z korytarza, gdzie tkwił przywiązany do kołka.

— Co? Macie go? Czy to prawda — zawołał, szamocząc się w pętach. — Kto panu zdradził to miejsce?

— Nikt. Znalezliśmy je sami.

— Nieprawda! Ktoś musiał powiedzieć.

— Myli się pan. Własna przenikliwość wystarcza nam całkowicie.

— Mogliście tam zejść tylko przez mieszkanie Judyty! Co z nią?

— Bardzo dobrze się miewa.

— A co z Jonatanem, moim synem?

— Też dobrze. Oboje tak się mi kochają, że wkrótce wezmą ślub na szubienicy.

— Co? Czy Jonatan jest schwytyany?

— Chciałby master, aby mu się lepiej powiodło niż panu?

— Został schwytyany, schwytyany — zajęczał. Po czym dodał: — A wszak było was tylko czterech!

— Tylko trzech, jednego przecież schwytaście — poprawiłem go.

— Moce piekielne wam pomagały! Ale pieniędzy nie dostaniecie! Tak je schowaliśmy, że nawet przy pomocy diabła nie potraficie ich odnaleźć.

— A jakże, potrafimy.

— Nigdy, przenigdy! Niech pan bierze to, co zaproponowaliśmy przez Judytę, inaczej nic nie dostaniecie. Mój syn ukrył pieniądze nie gorzej niż ja. I nikt, oprócz niego, nie zna tego schowka.

— I prócz pana?

— Tak.

— I Judyty?

— Nie sędzę, aby jej powiedział!

— O, miłość nie zna tajemnic.

— Czy zna, czy nie zna, pan nic nie znajdzie! Co więc panu z tego, że wyda nas policji? Sam powróci master z pustymi rękoma.

— Oczywiście, nie byłoby to zbyt korzystne dla mnie — zauważyłem ironicznie.

— A zatem, trochę rozsądku, panowie! — kontynuował, nie zważając na ton moich słów. Puśćcie nas i bierzcie pieniądze. Macie do wyboru: albo dostaniecie nas samych bez pieniędzy, albo też uwolnicie nas i odzyskacie ich nieco.

— Ile?

— Proponuję wam dwukrotnie więcej niż poprzednio Judyta.

— W takim razie spadkobierca dostanie tyle, co nic, wy zaś będziecie mieli i miliony, i wolność. To kiepski interes, master! Nie zgadzam się. Żądamy wszystkiego.

— Nic z tego! Moje ostatnie słowo: albo połowa, albo wcale!

— Zdobędziemy wszystko.

— Nic nie dostaniecie, nic! — krzyczał z wściekłością. — Zamordujcie nas, zabijcie! Wszystko mi jedno! Umrę ciesząc się, że jesteście i pozostaniecie bez grosza, bo pieniędzy nigdy, przenigdy nie znajdziecie!

Spokojnie przeczekałem wybuch jego złości i rzekłem:

— Niech się pan nie unosi. Wiem, co powinienem wiedzieć. Znam skórzaną torbę, w której Jonatan schował pieniądze.

— Skórzaną...? — zapytał teraz niemal szeptem. — Czy widział ją pan?

Popatrzył na mnie tak, jak gdyby jego życie zależało od mojej odpowiedzi.

— Widziałem ją i nie tylko widziałem.

— Człowieku! Czy chcesz powiedzieć, że już ją masz?

— Hm, jest to torba pańskiego syna i jako taka nie powinna pana obchodzić. Ale i pan ma przecież pieniądze — swoją część i część swego brata, którą mu pan ukradł.

— Tak, mam ją, mam! — wrzeszczał znowu wniebogłose. — Ale nie ludźcie się, że mi ją odbierzecie! Skoro diabeł oddał wam pieniądze Jonatana, podziękujcie mu za to. Lecz od moich pieniędzy, od mojej własności wara!

— O, wystarczy tylko sięgnąć ręką, aby mieć pańskie pieniądze.

Położyłem dwa palce na jego nogach. Drgnął cały, oczy wylazły mu z orbit.



— Tu? Myśli pan, że byłem tak głupi i włożyłem je do pończochy, aby nabawić się odcisków?

— Nie do pończochy, lecz do butów.

Trzęsąc się cały, wykrztusił z trudem:

— W butach? Ściągnij je pan i zajrzyj! Może pan wytrząsać z nich tak długo, jak się panu żywnie podoba, nie wypadnie z nich złamany szeląg.

— Rozumie się, pieniądze nie leżą w butach, lecz między podwójnymi cholewami.

Głowa Meltona opadła. Przymknął oczy i powtórzył zamierającym głosem:

— Pod... wójnymi... cho... le... wami...

Twarz jego stała się sina. Szamocząc się w więzach, darł się znowu:

— Ośmiel się dotknąć moich nóg, tylko się ośmiel, wstrętny psie! Rozerwę więzy i rozszarpie was, ciebie i tego czerwonoskórego Winnetou, na tysiące kawałków!

— Głupcze, miotasz groźby jak szaleniec! Pozostawimy ci jeszcze pieniądze, naturalnie, dopóki zechcę. Teraz rozwiążemy cię i pójdiesz z nami.

— Dokąd? — zapytał nieco uspokojony, ponieważ wiedział, że nie zamierzamy na razie zdejmować mu obuwia.

— Zobaczysz. Bądź posłuszny i ucisz się. Inaczej nie możesz liczyć na nasze pobłażanie.

Sprowadziliśmy go do mieszkania Judyty. Poszedłem do niej. Siedziała na krześle, zwrócona plecami do Emery'ego i udawała, że mnie nie spostrzega.

— Czy mamy cię zluzować? — zapytałem Anglika, przymykając oczy, pochylając głowę na bok i przykładając dłoń do policzka.

Pantomimicznie oznaczało to sen. Emery zrozumiał mnie i odparł:

— Jestem istotnie znużony. Chciałbym się przespać.

— A któż cię zastąpi? Ja mam robotę, Winnetou jest również zajęty, zaś Voglowi nie powierzyłbym odpowiedzialnego zadania.

— Odpowiedzialnego? Sądzę, że poradzi sobie z kobietą.

— Lecz przyprowadziłem jeszcze jednego jeńca, starego Meltona.

Judyta zerwała się szybko z miejsca i zawołała zdumiona:

— Zdaje się, że on zbiegł! Wszak pan to sam powiedział!

— A jednak wpadł nam w ręce!

— Chyba jest pan w konszachtach z diabłem! Co pan z nim zrobi?

— Przede wszystkim zajrzę do cholew. Widzi seniora, poprzednia pani radość była jednak przedwczesna, a szyderstwo skierowane pod niewłaściwym adresem.

— Bodajbym milczała! Przed nie chciałam powiedzieć. A teraz tyle pieniędzy straconych!

Przez kilka minut siedziała jak skamieniała, potem gwałtownie powstała i wygrażając pięściami nad moją głową, krzyknęła jadownicie:

— Kłamco, oszuście, potworze! Więc w taki to sposób postępuje pan z ludźmi! Pod maską uczciwości ukrywa podłego szpiega! Chętnie bym panu wydrapała oczy!

— Jeśli tylko zechcę, popełni pani jeszcze większe głupstwo niż poprzednio — rzekłem niewzruszenie spokojnym tonem.

— Nie, nigdy! — zapewniała gniewnie. — Nie sprawię panu powtórnej przyjemności. Nie dam się już podejść! Jestem tak samo sprytna jak pan. Czy myśli senior, że nie wiem, do czego pan zmierza? Znowu chce pan ze mnie coś wydobyć i w tym celu dopuściłeś nego kłamstwa.

— Kłamstwa? Czy mogę wiedzieć jakiego?

— Że schwycił pan starego Meltona.

Życzyłem sobie właśnie takiej odpowiedzi. Judyta nie przeczuwała nawet, że i tym razem dała się nabrać.

— To ma być kłamstwo? — rzekłem.

— Wie pan o tym dobrze i ja wiem także. A może zechce mi pan dowieść prawdziwości swych słów?

— Owszem.

— Gdzie jest więc Melton? Niech mi go pan pokaże i to natychmiast!

— Nie mogę go sprowadzić, jest bowiem spętany.

— Głupie wykrety! Wszak ja mogę doń pójść. Ale na to mi pan oczywiście nie pozwoli!

— Czemu nie?

— A więc chodźmy!

Wziąłem lampę i poszedłem do pokoju, gdzie leżał Melton. Skoro go ujrzała, krzyknęła z przerażeniem:

— To jednak prawda, szczerą prawdą! Senior Melton, jakże mógł pan do tego dopuścić?

— A czy pani nie schwytano? — zapytał wściekły.

— To co innego! Pan jest mężczyzną, posiadał pan broń, ja zaś...

— Cicho! — przerwałem ich kłótnię. — Spełniłem pani życzenie i pokazałem jeńca, ale nie pozwolę, abyś się z nim porozumiewała. Niech tu zostanie do rana. Gdy się rozwidni, sprawimy sobie uciechę i obejrzymy jego buty. A teraz wracamy!

Odwróciłem się i umyślnie poszedłem naprzód. Udawałem, że nic nie widzę i niczego nie podejrzewam, jednak spostrzegłem, jak za moimi plecami Judyta przesłała Meltonowi znak, który nie mógł wyrażać nic innego, tylko to, że przyjdzie do niego przy pierwszej

sposobności. O to mi właśnie chodziło, przecież chciałem się od niej dowiedzieć, dokąd uciekł Jonatan.

— Czy uważa mnie pani wciąż jeszcze za kłamcę? — zapytałem.

— Tym razem mówił pan prawdę. Ale mimo to będę bardziej przezorna.

— Proszę cię, Emery — zwróciłem się do przyjaciela — pilnie czuwaj. Oboje uwięzieni nie powinni się spotkać. Seniora mogłaby dopomóc staremu w ucieczce. Za dwie godziny przyjdę cię zastąpić — wcześniej nie mogę.

— W porządku, nie zlekceważę swoich obowiązków, aczkolwiek jestem piekielnie zmęczony.

Skinąłem mu porozumiewawczo i wyszedłem. Wobec tego odprowadził mnie do wyjścia. Zapytał cicho:

— Co to wszystko znaczy? Dlaczego mam być znużony?

— Chciałbym, aby Judyta poszła do starego. Rozmawiaj z nią teraz głośno, co najmniej przez dziesięć minut, aby nie słyszała, co się tutaj dzieje. Potem na niby zaśniesz i nie ockniesz się, aż przyjdę.

— A jeśli ona stąd odejdzie?

— Nie przeszkadzaj jej.

— Ale, być może, naprawdę uwolni Meltona?

— Nie. Wyprawię go stąd i położę się na jego miejscu.

— Znakomity pomysł! Jestem niezmiernie ciekaw wyniku.

Wrócił do Judyty, a ja sprowadziłam Winnetou, który czekał na górze. Zakneblowaliśmy staremu Meltonowi usta i przenieśliśmy go do lewego skrzydła. Następnie Winnetou związał mnie dokładnie tak samo jak Melona i ułożył na jego miejscu. Zdjął ze mnie pas i upodobnił zewnętrznie do starego, później zgasił lampę.

Wkrótce potem Apacz poszedł na górę, ja zaś czekałem z niecierpliwością nocnych odwiedzin. Nie wątpiłem, że Judyta przyjdzie, ale nie byłem pewny, czy wyzna mi to, co chciałem wiedzieć.

Słyszałem, jak rozmawiała z Emerym. Niebawem rozmowa umilkła. Upłynął kwadrans, drugi i nawet trzeci. Wówczas wychyciłem uchem lekki szelest kobiecej sukni. Przyszła. Ręka jej szukała mnie po omacku, aż dotknęła nogi. Drgnąłem, jakby przelekniony. Wtedy usłyszałem lekki szept:

— Cicho, cicho, senior Melton! To ja!

— Kto? — szepnąłem. — W szepcie głosy brzmią jednakowo.

— Ja, Judyta! Chce pan uciec?

— Do diabła! Gdybym tylko mógł...

— Ja panu pomogę! Czy zauważył pan moje wcześniejsze znaki?

— Tak.

— Ten Old Shatterhand to osioł. Z przyjemnością splećę mu figła. Przyjrzałam się poprzednio pańskim więzom. Proszę podnieść ręce, mam przy sobie nóż.

Uczyliem to. Rozcięła mi pęta u rąk, a później u nóg. Usiadłem, umyślnie powodując niewielki hałas. Chciałem bowiem, aby mnie ostrzegła, a wówczas nie zastanawiałyby jej moje monosylabowe odpowiedzi. Nie mogłem przecież wiele mówić, aby mnie nie rozpoznała.

— Cicho, cicho! — usłyszałem. — Obudzi pan mego strażnika.

— Strażnika? — zapytałem.

— Tak, zasnął. Szczęśliwy to dla pana zbieg okoliczności, gdyż jutro musiałbyś się rozstać i z pieniędzmi i z wolnością, a może nawet i z życiem. Musi pan śpieszyć do Jonatana!

— Gdzież on?

— Uciekł. Pomogłam mu. Udał się do Indian Mogollonów, których wódz nazywa się Bitsil Iltszeh\*. Był przyjacielem mego męża i chętnie udzieli Jonatanowi gościny i ochrony. Jeśli pan ucieknie do Mogollonów i powie, że ja pana przysyłam, to może być pewny dobrego przyjęcia. Wkrótce i ja za wami podążę.

— Kiedy?

— Kiedy ci szubrawcy opuszczą pueblo. Muszę jeszcze zostać, aby dowiedzieć się, co postanowią i dokąd się udadzą. Potem spotkam się z Jonatanem w Klekie-Tse\*. A teraz niech pan ucieka stąd i strzeże się, aby pana nie złapali! Oto nóż, stołowy wprowadźcie, ale trudno, nie mam innego.

Po tych słowach Judyta szybko się oddaliła.

Przeczekałem chwilę, po czym wyszedłem na taras. Tam siedział Winnetou. Zapytałem go:

— Czy brat mój zna Bitsil Iltszeh wodza Mogollonów?

— Tak. Jest to mężny wojownik i nigdy jeszcze słowa nie złamał.

— Czy na jego terenach znajduje się miejscowość zwana Klekie-Tse?

— Tak. Znam ją. Dlaczego mój brat pyta?

— Tam właśnie uciekł Jonatan Melton.

— Uff! Skąd wie to Old hand?

Wyjaśniłem mu. Śmiejąc się cicho, rzekł:

---

\* Silny Wicher

\* Jasna Skąła

— Mój brat jest nie tylko chytry jak lis, ale nawet bardziej przebiegły niż biała squaw, czego Winnetou nie może powiedzieć o sobie. Pojedziemy więc do Jasnej Skały!

Gdy minęły zapowiedziane dwie godziny, zszedłem na dół zastąpić Emery'ego. Siedział na krześle z opuszczoną głową i udawał śpiącego. Judyta spoczywała na krześle obok. Obdarzyła mnie spojrzeniem zaczepnym i triumfującym.

— Co się tu dzieje? — zawołałem podniesionym głosem. — Ty śpisz!?

Udawał, że się zrywa ze snu, zrobił zakłopotaną minę i odparł:

— Ach, przepraszam! Zdrzemnąłem się, ale nie dłużej niż kilka minut.

— Kilka minut? — roześmiała się Judyta. — Senior, przespał pan jednym tchem niespełna dwie godziny.

— A co pani robiła podczas snu sir Emery'ego? — zapytałem.

— To i owo. Przespacerowałam się też trochę po pokojach.

— Czy zaglądała pani do Meltona?

— Naturalnie! Mogę nawet panu powiedzieć, że jego więzienie świeci pustką.

— Czy jest pani przy zdrowych zmysłach?

— A jakże! Czmychnął do syna.

— A więc muszę natychmiast...

Udawałem, że jestem wzburzony; wziąłem lampę i wybiegłem.

Judyta pragnęła nacieszyć się moim zmartwieniem, więc poszła za mną. Emery zaś dreptał za nami. Ujrawszy rozrzucone rzemienie, krzyknąłem z wściekłością:

— Ktoś mu pomógł! Wszak sam nie mógł przeciąć więzów! Gdybym wiedział, kto to uczynił! Seniora, przypuszczam, że pani wie najlepiej!

— Tak pan myśli? — zapytała z uśmiechem. — Nie będę się wypierała. Tak, to ja zrobiłam!

— Pani... pani go uwolniła? Jakim prawem...?!

— Tak, ja, nikt inny! Teraz widzi pan, kto palnął głupstwo, ja czy pan. Gdzież jest ta powtórna nierozwaga, której się pan po mnie spodziewał? Spełnij więc teraz swoje przyrzeczenie i powiedz, gdzie jest Jonatan Melton. Tak, tak — roześmiała się na całe gardło — twarz pana jest symbolem głupoty. A teraz spróbuj, senior, naprawić swój błąd.

— Ujrzy pani zaraz mój naprawiony błąd — odpowiedziałem.

Zaprowadziłem ją do drugiego pomieszczenia i uchyliłem zasłonę. Rozejrzała się i cofnęła o krok, krzyząc:

— Melton! Wszak tu leży Melton! Oczy jej przesuwają się bezradnie z niego na mnie i z powrotem.

— Istotnie, Melton — odparłem rozbawiony. — Naturalnie. A kogo się pani spodziewała?

— Melton, Melton! — powtarzała wciąż. — Nie może być! To czary! Czy pozwoli mi pan z nim pomówić?

— Nie. Wrócimy do pani mieszkania.

W pokoju runęła na krzesło i spojrzała na mnie pytająco. Jej triumf, jej pycha gdzieś się nagle ulotniły.

— Zwykłem dotrzymywać słowa, seniora — zacząłem. — Chcę pani powiedzieć, dokąd zbiegł Jonatan. Jest teraz w drodze do Silnego Wichru, wodza Mogollonów. Później pani także tam pojedzie i spotkacie się w Jasnej Skale. Czyż nie tak?

Zerwała się z krzesła i zawołała:

— Kto to panu zdradził? Kto panu powiedział?

— Pani sama.

— Ja... ja...?

— Tak. Niech pani sobie przypomni własne słowa: „Ten Old Shatterhand to osioł. Z przyjemnością spletał mu figła.” Jest mi bardzo miło, że chciała seniora sprawić sobie taką rozrywkę i spletała mi takiego właśnie figła.

Patrzyła na mnie, jakby nie rozumiała moich słów, później zaś wymamrotała:

— Ja, ja... nie pojmuję pana...

— Muszę więc pani pomóc. Czy pani wie, komu przecięła więzy?

— Meltonowi.

— Nie. Wszak widziała go seniora przed chwilą. Była pani tak łaskawa, że uwolniła mnie.

— Pana... pana?

— Tak. W dodatku palnęła pani głupstwo, którego miała się tak wystrzegać. Jonatan Melton, główny sprawca przestępstwa, uciekł z całym majątkiem. Tylko pani wiedziała dokąd. Sprowadziłem do pani jego ojca, ale zaraz potem przeniósłem go gdzie indziej, sam zaś kazałem się związać i położyć na jego miejscu. Wiedziałem, że seniora przyjdzie, gdyż spostrzegłem pani porozumiewawcze skinienie. Sir Emery udawał śpiącego. Wymknęła się pani z pokoju, podeszła do mnie, przecięła więzy i w dodatku była dla mnie aż tak miła, że powiedziała mi wszystko, co chciałem wiedzieć. Współczuję pani. Dodam jeszcze, że muszę teraz seniorem związać, gdyż mogłabyś istotnie uwolnić prawdziwego Meltona.

— Mnie związać?! Nie ścierpię więzów! Czy odważy się pan na taką brutalność?!

— Proszę się nie oburzać. Pani stosunek do Jonatana, jest karygodny. Seniora wie, że to morderca, oszust, a jednak udziela mu pomocy i zamierza wziąć część jego łupu. Jest więc pani współwinną przestępstwa, o czym już raz wspominałem.

— Ja już nie mogę panu szkodzić.

— A jednak. Mógłbym właściwie traktować panią inaczej, wszak pod warunkiem, że odpowie seniora na parę pytań. Ale nie wolno pani kłamać.

— Dobrze! Niech pan pyta!

— Czy Melton ma konia?

— Miał konia w domu, w którym przebywaliście poprzedniej nocy.

— Czy jest uzbrojony?

— Zabrał z sobą strzelbę, nóż i rewolwer.

— Ale o ile wiem, nigdy jeszcze nie: był w tej miejscowości. Czy znajdzie drogę do Mogollonów?

— Tak. Musi tylko jechać biegiem Flujo Blanco, a potem skierować się ku wzgórzom Sierra Blanca, które zobaczy przed sobą. Wówczas na pewno trafi do Mogollonów.

— A gdzie jest Jasna Skala, w której ma się pani spotkać z Jonatanem?

— Również w Sierra Blanca.

— To właśnie pani poradziła mu uciec do Mogollonów?

— Tak. I wyznałyłam tam miejsca naszego spotkania. Zdaje się, że nie mogę być bardziej szczerą!

— Doprawdy?

— Wiem, że będzie senior go ścigał, a jednak powiedziałam, dokąd zbiegł i gdzie mnie będzie oczekiwał. Narazam go na niebezpieczeństwo. Czego pan więcej żąda?

— Tak. Żądałem tylko prawdy, seniora zaś skłamała.

— Nic podobnego! To prawda, że zbiegł do Mogollonów i że będzie mnie oczekiwał w Jasnej Skale.

— Tych słów nie może się pani wypierać, gdyż omyłkowo powiedziała mi już, gdzie będzie się ukrywał pani narzeczony. Jednak tego powtórnego oświadczenia nie możesz liczyć za dowód szczerości. Natomiast odpowiedzi seniora dotyczące drogi do Mogollonów i Jasnej Skaly są fałszywe.

— Nie, są prawdziwe!

— Nie oszuka mnie pani. Zmuszona wyznać, dokąd udał się Melton, wskazałaś mi kierunek niewłaściwy, co więcej, wręcz odwrotny, abyśmy stracili czas i aby Jonatan mógł tymczasem umknąć. W Sierra Blanca mieszkają Nijora–Apacze. Musimy jechać w zupełnie przeciwnym kierunku, by dotrzeć do gór Mogollon, od których bierze nazwę wymienione przez panią plemię indiańskie. Widzi więc seniora, że niełatwo mnie zwieść.

— Jeśli pan ma słuszność, to znaczy, że ja jestem źle poinformowana!

— Po co wciąż te kłamstwa! Chce nas pani wyprowadzić na manowce. Nie usłuchała seniora mego ostrzeżenia, więc musimy na jakiś czas pozostawić cię tutaj samą.

Przewiązałem jednym rzemieniem ręce Judyty, drugim nogi, a następnie z Emerym ułożyliśmy ją na ziemi. Teraz już nie mogła się podnieść, nie mogła już podkraść się do Meltona, aby udzielić mu pomocy w ucieczce; rzeczą zbyteczną byłoby zostawiać przy niej strażnika. Wraz z Emerym wróciłem na górę do Winnetou, który potwierdził, że Jasna Skała znajduje się nie w Sierra Blanca, ale w Górach Mogollon.

Siedząc na platformie, wyczekiwaliśmy świtu. Ognisko Jumów wygasło, ale oni sami zostali na dole. Uważali nas teraz za panów puebla. Sprowadziliśmy na platformę starego Meltona. Rozumie się, że nie powinien był wiedzieć, iż syn jego uciekł. Postanowiliśmy ściągnąć mu buty. Sporo się we trzech namęczyliśmy, bo wierzgał nogami i wykręcał się mimo skrępowania, zanim tego dokonaliśmy.

Buty Meltona były podszyte cienką skórką. Macając ją od razu zauważyłem, że coś tkwi między cholewami a podszyciem. Szew był świeży, a zatem pieniądze zaszyto tam niedawno. Prawdopodobnie pomagała przy tym Judyta i stąd właśnie wiedziała o owym schowku.

Odprułem podszycie nożem. Melton spoglądał na mnie ponuro, oczy jego pałały nienawiścią. Jeden but zawierał cienką paczkę w rodzaju koperty, drugi zaś aż dwie takie paczki. Otworzyłem je. W dwóch kopertach znalazłem po dziesięć tysięcy funtów szterlingów, w trzeciej natomiast piętnaście tysięcy dolarów w banknotach. Melton potwierdził pod groźbą chłosty, że była to jego część łupu oraz pieniądze zrabowane bratu.

— A teraz pojedzie pan z nami — oświadczyłem mu.

— Co? Mam z wami jechać? Wszak zagarnęliście już pieniądze. Zostawcie mnie w pueblu!

— Czy pan oszalał, master? Zostawić pana tutaj?

— Do czego jeszcze mogę się wam przydać?

— Co za pytanie! Ścigałem pana za wielokrotne morderstwa po całym Dzikim Zachodzie. Szukałem w Egipcie i Tunisie. Tam także popełniłeś morderstwo. Odważyłeś się wrócić do Stanów jednoczonych, aby wyłudzić milionową spuściznę. Przeprowadziłem się dla pana przez ocean. Tutaj znowu przemierzaliśmy za panem prerie i kiedy nareszcie cię mamy, liczy master na to, że go puścimy. Jest to co najmniej śmieszne!

— Chcecie mnie zabić?

— Nie. Pozostawimy to katowi.

— Do licha! Chce mnie pan znowu wydać, jak ongiś w forcie Edwarda?

— Naturalnie! A poza tym postaramy się, aby tym razem pan już nie uciekł.



— Niech się pan dobrze zastanowi! Cóż wam z tego, że ja będę wisiał?!

— Nic, absolutnie nic, to prawda. Ale musi pan ponieść karę, na jaką sobie zasłużył. W tym przypadku jedynie pańska śmierć może mnie upewnić, że nigdy nikomu nie wyrządzi już master krzywdy.

— No, dobrze! Chcę wykupić się okragłą sumą — nie rezygnował Melton.

— Nie posiada sir już nic.

— Mam pieniądze!

— Odbierzemy je, ale nie za cenę waszego uwolnienia. Jeśli nie wydalimy was w ręce sprawiedliwości, to z kolei my popełnimy przestępstwo. Nie, nie, weźmiemy pana z sobą!

— Czyńcie więc, co się wam podoba, psy wściekłe, i bądźcie po tysiącuroć przekłęci!

— Tak, uczynimy, co się nam podoba, zaś to przekleństwo padnie na pana. Oto, mister Vogel — zwróciłem się teraz do Franciszka — pańskie pieniądze. Jest ich przeszło sto tysięcy dolarów.

— Niech się nimi po stokuroć tysięcy razy udławi — ryknął Melton.

Vogel zbladł z wrażenia, kiedy ujrzał w swoich dłoniach trzy koperty. Rzekł do mnie:

— O niebiosa, co za majątek! To za wiele, stanowczo za wiele!

Chciał się z nami dzielić, ale przerwałem mu, mówiąc:

— Otrzyma pan przypuszczalnie o wiele więcej. Weź pan te pieniądze i przechowuj starannie!

— I nic pan nie przyjmie? — zapytał zakłopotany.

— Nie.

— A więc dobrze, tymczasem biorę je do siebie. Ale później wrócimy jeszcze do tego tematu.

## Ku Jasnej Skale

Należało niezwłocznie wyruszyć w drogę. Gdy przyprowadzono nasze konie, przywiązaliśmy Meltona do jego wierzchowca i zaopatrzeni w suszone mięso, ruszyliśmy ku Jasnej Skale. Jumowie pozwolili nam odjechać, nie stawiając żadnych przeszkód. Ale było widać, że nie są zadowoleni z przymusowego zawarcia pokoju. Mogliśmy być pewni, że przy ponownym spotkaniu zachowają się wobec nas niezbyt przyjaźnie.

Właściwie należało teraz szybko opuścić kanion Flujó Blanco, ale chcieliśmy najpierw wywiązać się z przyrzeczenia danego Indiance. Pojechaliśmy więc w dół rzeki, potem zaś skręciliśmy na wschód, w kierunku jej domu. Na miejsce dotarliśmy po dwóch godzinach. Indianka stała przed drzwiami, ujrzała nas bowiem z daleka.

— Czy w nocy nikt nie odwiedził mojej czerwonej siostry? — zapytałem.

— Owszem — odparła. — Młody biały, którego chcieliście pojmać, był u mnie, aby zabrać mego konia.

— Dałaś mu?

— Nie, sam wziął. Usiłowałam w tym przeszkodzić, ale zagroził mi śmiercią.

— Czy pojechał bez siodła?

— Nie. Zabrał je również.

— Czy nie dał ci jakiegoś polecenia?

— Tak. Mam powiedzieć białej squaw, że ucieczka się powiodła. Potem pojechał na południe, śledziłam go ukradkiem.

— Wiemy, dokąd zbiegł. Jesteśmy z ciebie zadowoleni i ofiarujemy ci to co przyrzekliśmy wcześniej.

Każdy z nas obdarował ją pieniędzmi. Zebrała tak sporą sumę, że wróciwszy do swoich, mogłaby wśród nich uchodzić za zamożną. Następnie wzięwwszy lassa, udaliśmy się w dalszą drogę.

Od czasu gdy wyjechaliśmy z puebla, minęły cztery godziny. Należało przypuszczać, że Jonatan ubiegł nas przynajmniej o osiem godzin drogi

— Jak daleko do Jasnej Skały? — zapytałem Winnetou.

— Dosiadamy szybkich rumaków i jeśli nic nam nie stanie na przeszkodzie, dojedziemy tam za trzydzieści godzin.

— Liczę na więcej niż trzydzieści, gdyż koń Meltona nie dotrzyma kroku naszym. Uważam, że zrobimy dwanaście godzin dziennie, zatem przyjedziemy do celu pojutrze. Czy Winnetou myśli, że Silny Wicher przyjmie nas życzliwie?

— Mogollonowie nie żyją w przyjaźni z Apaczami, ale nigdy nie wyrządziłem im żadnej krzywdy. Nie widzę powodu, aby odnieśli się do nas wrogo.

— Melton może nastawić ich przeciwko nam.

— O ile przybędzie prędzej niż my.

— Na pewno. Zajedzie konia na śmierć, byle jak najszybciej dotrzeć do celu.

— Dlaczego?

— Bo jest przekonany, że Judyta nic nam nie zdradzi.

— Ale mógł powziąć wobec zło nas zamiary. Przypuszczając, iż zabawimy w pueblu przez dłuższy czas, zechce podburzyć Mogollonów, aby na nas napadli.

— To jest nawet bardzo prawdopodobne. W takim wypadku natkniemy się na nich po drodze, a więc staniemy na wojennej ścieżce.

Rozmawialiśmy po cichu, aby stary Melton nic nie usłyszał. Zresztą nie raczył nawet na nas spojrzeć. Myśli, które go opadły, musiały być bardzo ponure. Od czasu do czasu wydawał głębokie westchnienia lub gniewne pomruki.

Nie mogło być mowy o dośnięciu Jonatana. Zrozumieliśmy to od razu. Konie Vogla i Meltona nie były zbyt ręczne, a nadto nasz jeniec za wszelką cenę starał się opóźnić jazdę.

Winnetou znał okolicę i był dobrym przewodnikiem. Mieliśmy przed sobą ślad Jonatana, który znalazł się tu po raz pierwszy w życiu i który kierował się wyłącznie wskazówkami Judyty.

Droga prowadziła wciąż pod górę. Wieczorem dotarliśmy do płaskowzgórza między Sierra Blanca a górami Mogollon. Wjechaliśmy na teren nie zalesiony. Powiał ostry i zimny wiatr z zachodu. Wstrząsały nami dreszcze, gdyż odzwyczailiśmy się już od tak dużych różnic temperatur.

Tuż przed zmrokiem zobaczyliśmy przed sobą pagórek, tworzący niejako parawan, przez który wiatr nie mógł przeniknąć. Rosło tu wiele drzew i krzewów, mogących dostarczyć chrustu na ognisko. Zziębnięci, marzyliśmy o jego cieple.

Zsiedliśmy z koni i rozwiązaliśmy starego Meltona. Tak był skostniały zarówno z zimna, jak i skrępowania, że nie mógł stać ani chodzić. Musieliśmy zanieść go pod skalną ścianę i ułożyć na ziemi. Być może, że symulował. Bądź co bądź, należało go mieć na oku.

Po nakarmieniu koni i rozpaleniu ogniska, zabraliśmy się do jedzenia. Melton dostał porcję mięsa, pokrajaną na drobne kawałki, które wkładałem mu do ust. Nie chciałem uwalniać mu rąk nawet do jedzenia.

— Czy będziemy czuwać? — zapytał Emery.

— Myślę, że nie musimy — odparł Winnetou. — Nie ma tu nigdzie wrogów.

— Dobrze, więc wszyscy będziemy spali. Wypoczynek jest nam bardzo potrzebny.

— A jednak lepiej będzie czuwać — rzekłem. — Po pierwsze, musimy strzec Meltona, a po drugie, nie ufam jego synalkowi. Nie jest to wprawdzie westman, ale potrafi być sprytny. Jeśli weźmie pod uwagę możliwość, że mogliśmy jednak wydobyć z Judyty informację dokąd pojechał, może mu strzelić do głowy, aby zacząć się na nas gdzieś po drodze.

— Hm — mruknął Emery — nie jest aż tak doświadczony.

— Nie jest doświadczony, ale cwany.

— To już byłaby odwaga!

— Nie jest tchórzem i rozumie się, że potrafi okazać odwagę, tam gdzie stawką jest życie i majątek. Skoro chcecie spać, zgoda, śpijcie. Ja będę jednak czuwał przez całą noc.

— Nic podobnego! Jeśli uważasz, że to konieczne, będziemy czuwać na zmianę.

Losowaliśmy. Pierwszy miał trzymać wartę Winnetou, drugi Emery, trzeci ja, a ostatni Vogel. Wypadło po półtorej godziny na osobę, albowiem na nocleg przeznaczaliśmy sześć godzin. Była dziewiąta wieczór.

Po wielu przeżyciach ostatnich kilku dni spałem tak twardo, że Emery musiał dwukrotnie mną potrząsnąć, zanim się przebudziłem. Położył się na moje miejsce, ja zaś dorzuciłem chrustu do ognia, aby nie zgasł. Dookoła panowała głucha cisza. Z obu stron naszego biwaku zrywał się wicher, chwilami zawodząc i świszcząc. Aby nie drzemać, wstałem i przechadzałem się tam i z powrotem. Tak minął czas mojej warty i przyszła kolej na Franciszka. Lecz było mi żal pocziwego młodziana, nieprzywykłego do takich trudów. Pozwoliłem mu więc spać dalej i postanowiłem czuwać za niego.

Szybko ubywało chrustu. Oddaliłem się od ogniska, aby zebrać trochę gałęzi i drzewa. Ponieważ w pobliżu wybieraliśmy już do czysta, więc musiałem szukać chrustu gdzie indziej. Z powodu mroku poruszałem się po omacku, oddalając się coraz bardziej od śpiących towarzyszy. Oczywiście nie mogłem zapobiec mimowolnym szmerom, gdyż suche gałęzie, które znajdowałem, trzaskały pod moimi stopami.

W pewnym momencie usłyszałem dziwny, intrygujący mnie dźwięk. To nie było trzeszczenie gałęzi, to brzmiało zupełnie inaczej. Czy to wycie wiatru? A może rzenie konia?

Przystanąłem i zacząłem nasłuchiwać. Szmer czy raczej dźwięk nie powtórzył się więcej. Ale zrodziło się we mnie podejrzenie. Jeśli się nie myliłem, gwizdanie czy rzenie rozległo się z prawej strony. Odłożyłem chrust i zacząłem się czołgać na brzuchu w tamtym kierunku.

Przedsięwzięcie to było połączone z dużymi trudnościami ze względu na to, że musiałem się przekradać przez zagajnik. Gdyby między krzewami leżeli wrogowie, to w tych ciemnościach mógłbym ich znaleźć wyłącznie wówczas, jeślibym posuwał się szerokim zygziem. Na to nie miałem jednak czasu i dlatego też postanowiłem skradać się prosto. Po upływie kilku minut wychwytiłem ten sam dźwięk. Teraz rozpoznałem już wyraźnie rzenie konia. Domyśliłem się, gdzie mógł on stać: w pobliżu stromej ściany góry, która chroniła nas przed wiatrem. A zatem nieznany jeździec tak samo jak i my szukał osłony przed jego podmuchami.

Lecz któż to mógł być? Jeśli przybył tu przed nami, to musiał nas widzieć. Dlaczego więc, o ile nie żywił złych zamiarów, nie zbliżył się do nas, albo jeśli się nas lękał, nie uciekł stąd? Dlaczego został? Jeżeli natomiast przyjechał po nas, to musiał zobaczyć nasze ognisko. Niewątpliwie się podkradł, aby dowiedzieć się, kto tu obozuje. Mimo to pozostał w pobliżu, z czego wynikało, że... Tak, właściwie co z tego wynikało? A jeśli miałem przed sobą nie jednego, lecz więcej ludzi? W takim razie groziło nam go ważne niebezpieczeństwo. Musiałem bezwarunkowo zbadać sytuację! Poczłgałem się do ściany skalnej, a potem wzdłuż niej. Z rzenia konia wywnioskowałem, że mogłem być oddalony od niego najwyżej na pięćdziesiąt kroków.

Posuwałem się na czworakach, powoli i bardzo ostrożnie, aż wreszcie pokonałem tę odległość. Na lewo ode mnie stał nie jeden, lecz wiele koni. Wszystkie były uwiązane. Jeźdźcy musieli leżeć w pobliżu. Pełzałem dalej między skałą a końmi. Nagle zobaczyłem leżący w wysokiej trawie wśród krzaków jak gdyby długi, okrągły tłumok. Po dotarciu do niego stwierdziłem, że jest to człowiek zawinięty w liczne kołdry. Ale gdzie byli inni? Skoro stało tu tyle koni, musiało być również wielu jeźdźców.

Nie mogłem czołgać się nadal wprost przed siebie, postanowiłem więc zakreślić łuk, dopóki nie dotrę do małego ugoru, gdzie jak już dostrzegłem siedzieli ci, których szukałem. Słyszałem, jak po cichu prowadzili między sobą rozmowę. Odważyłem się przysunąć bliżej, aż pod głaz, przy którym siedziały dwie postacie. Tuż obok rósł zagajnik, byłem więc dosyć osłonięty, aby nie obawiać się odkrycia. Wsunąłem głowę pomiędzy krzewy i zacząłem podsłuchiwać, bowiem z wątku rozmowy mógłbym wywnioskować, kogo mam przed sobą.

Ach, to było narzecze Jumów! Czyżby ścigali nas mieszkańcy puebla?! Usłyszałem, jak jeden z siedzących rzekł:

— Nie powinniśmy czekać, ale napaść na nich bezzwłocznie.

Chociaż szeptali, rozpoznałem głos Indianina, w którego domku zaskoczono nas w poprzedni wieczór. Moje Przypuszczenie sprawdzało się zatem. Byli to pueblosi.

— To nie jest wskazane — rzekł drugi. — Nasze kule mogłyby ugodzić Meltona.

— Skądże znowu! Wszak płonie tam ognisko. Cel widać wyraźnie.

— Ale straż, pomyśl o straży! Gdyby to nie był Old Shatterhand! Należy się lękać zarówno jego jak i Winnetou. Gdy podejdziemy, biały wojownik usłyszy nas na pewno!

— Nie słyszał ciebie, mimo że byłeś tak blisko ogniska.

— Wówczas nie czuwał jeszcze. Właśnie budzono go, kiedy się podkradłem. Siedział przez chwilę, po czym podniósł się i zbliżył do miejsca, gdzie przywarłem do ziemi. Musiałem szybko umykać, inaczej byłby mnie zauważył. Na szczęście nic nie słyszał. Jeśli jednak podejdzie nas tam więcej, usłyszy nas z pewnością. Musimy czekać na zmianę czuwającego.

Naraz wtrącił się trzeci Juma:

— Usłuchajmy rady białej squaw i odłóżmy atak do świtu. Musimy widzieć cel bardzo dokładnie. Jest ich tylko czterech, jeżeli więc będą dobrze widoczni, sprzątniemy ich w jednej chwili. Natomiast jeśli napadniemy teraz, ciemność i miganie ogniska łatwo nas mogą zawieść.

— Za bardzo się ich lękacie — mruczał nasz znajomy Indianin.

— To nie jest strach, lecz ostrożność. Pomysł o srebrnej strzelbie Apacza, a następnie o broni Old Shatterhanda, której sprawność dała się już nam we znaki. Nie, uderzymy na nich dopiero o świcie. Biała squaw, która była żoną naszego wodza, pragnie widzieć klęskę wrogów. Pragnie tego bardzo, a my możemy sprawić jej tę przyjemność.

— Słusznie — rozległ się głos Judyty, która wydostała się spod kołder, wstała i podeszła do mówiących.— Marzę, aby być przy tym. Chcę widzieć, jak te psy, te łotry zginą od waszych kul. Potem pojedziemy do Jasnej Skały, do mego przyszłego męża, który tak was obdaruje, że będziecie posiadali więcej, niż kiedykolwiek mogliście o tym marzyć. Zgoda?

— Tak, zgoda, zgoda! — zabrzmiało dookoła.

— Jak daleko jest stąd do ogniska tych szubrawców?

— Może jakieś trzysta kroków — rzekł Indianin, który nas podpatrywał.

— Podkradnę się do nich, muszę ich zobaczyć — oświadczyła nagle Judyta.

— To niebezpieczny krok.

— — Nie dla mnie. Wiem, jak należy się niepostrzeżenie skradać. Nauczył mnie tej sztuki mój mąż, a wasz wódz.

— Ale jeśli Old Shatterhand czuwa nadal, to niewątpliwie cię usłyszy.

— Nie. Wszak i ciebie nie słyszał.

— Pozwól przynajmniej, abym ci towarzyszył.

— Nie jest mi potrzebna opieka.

— Nie pozwolę ci pójść samej. Gra toczy się nie tylko o twoje, lecz także o nasze życie.

— Dobrze, więc chodź! Wiedziałem więcej niż pragnąłem; czym prędzej się wycofałem i ruszyłem z powrotem. Ta niespodzianką zakrawała na żart. Judyta ścigała nas wraz z Indianami, aby przyjrzeć się naszej zagładzie. Ile żywiła do nas nienawiści? Musiała, jako małżonka wodza, przyzwyczać się do konnej jazdy, skoro tak szybko tu przybyła.

Zacząłem się na nich w dogodnym miejscu i przywarłem do ziemi. Niebawem usłyszałem chrzęst gałęzi. Zbliźali się oboje. Przepuściłem ich naprzód, aby następnie iść za nimi. Doszli na trzydzieści kroków do naszego ogniska, które tymczasem już prawie zupełnie wygasło. Rozdzielili się, aby sobie wzajemnie nie przeszkadzać, On odsunął się nieco na lewo, Judyta zaś na prawo ode mnie. Postanowiłem schwytać najpierw Indianina, a dopiero później ją.

Skradałem się za nimi z boku, nie mogłem jednak uniknąć lekkiego szmeru, który obudził czujność Jummy. Zatrzymał się i jął nasłuchiwać. Stał w pozycji dla mnie nader dogodnej. Jeden skok, a złapałem go za gardło i parokrotnie uderzyłem rączką rewolweru. Upadł na ziemię. Omdlały nie mógł już nam szkodzić.

Teraz przysła kolej na damę Mogła się łudzić, że jest bezpieczną, gdyż z tamtej strony góry wicher wył z podwójną siłą i zagłuszał jej kroki. Wszakże musiałem przyznać, że całkiem nieźle wywiązywała się z zadania. Tak sprawnie korzystała z cienia rzucanego przez krzewy, że nie czy spostrzegłbym ją, gdybym pozostał przy ognisku.

Przysunęła się tak blisko, że mogła dojrzeć śpiących. Uklękała w trawie i spoglądała przez gałęzie. Zbliżyłem się do niej po cichu na odległość ręki. Wyciągnęła szyję i czegoś wypatrywała. W tym momencie odezwałem się:

— Nie ma mnie tam, seniora! Tutaj powinna pani spojrzeć.

Odwróciła gwałtownie głowę. Nigdy jeszcze na niczyjej twarzy nie widziałem takiego przerażenia. Skamieniała, język stanął jej kołkiem i nie mogła z siebie wykrztusić słowa.

— Podkraśla się pani, aby widzieć „te psy i łotry”? Proszę, zobaczy ich pani dokładnie. Wstań i chodź ze mną — rozkazałem ostrym tonem.

Podniosłem się. Judyta klęczała wciąż jeszcze i wpatrywała się we mnie przestraszona.

— Proszę się podnieść — powtórzyłem trochę łagodniej.

— Pan... pan... jest tutaj? — wyjąkała wreszcie.

— Wszak pani widzi. Naprzód, idziemy!

— Co mam...?

— Co ma pani robić? Przyszła pani, aby zobaczyć, jak padniemy od kul Jumów. Pragnę seniorze to ułatwić. Będzie pani siedziała przy nas, kiedy padną strzały. A więc naprzód, do ogniska!

Mówiłem głośno. Winnetou ocknął się ze snu i zerwał na równe nogi. Chwyciłem Judytę z tyłu za kołnierz bluzki i popchnąłem ku ognisku.

— Ufff! — zawołał zdumiony Apacz. — Widzę białą squaw.

— Jest tu ze swoimi Jumami, którzy mieli nas zastrzelić — poinformowałem go.

Emery i Franciszek obudzili się również. Stary Melton także nie spał. Jego przerażone spojrzenie spoczywało na nieszczęsnej „wybawicielce”.

— Któż to jest? — zapytał Emery przecierając oczy. — Wszak to znów nasza nadobna Judyta!

Wyjaśniłem im w krótkich słowach zaistniałą sytuację, przyniosłem chrust, aby podsyć ogień, i przytaszczyłem nieprzytomnego Jumę.

— Czy nie lepiej byłoby zagasić ogień? — zapytał Anglik.

— Jeszcze nie teraz — odparłem.

— Ale skoro się Jumowie zbliżą, będą nas dobrze widzieli.

— Zaraz nie przyjdą. Zastanówmy się teraz, co powinniśmy zrobić.

— Zwłaszcza z tą kobietą — dopowiedział Emery.

— Co myśli mój brat? — zapytałem Apacza.

— Nic. Winnetou istotnie nie wie, co ma powiedzieć o tej squaw. Należałby ją zgładzić, podobnie jak się tępi grzechotniki.

— Tylko nie to! — rzekłem. — Mimo wszystko jest kobietą. Pozwolimy jej umknąć. Wiemy już, jak się rzeczy mają. Wyruszmy natychmiast w drogę.

— Nie pojmuję ciebie. Co się stanie z Jumami? Czy nie damy im żadnej nauczki? — dopytywał się Emery.

— Ich już nic nie potrafi nauczyć. A czas nagli. Musimy się śpieszyć. Przywiążcie Meltona do konia.

— A ta seniora, która się uważa za damę...? Nie do wiary, żeby mimo...

— Zaczekaj! Przywiążcie tylko Meltona do siodła, a potem sprowadźcie mojego wierzchowca — rzuciłem pośpiesznie.

Uspokoilo go to, że zostałem przy Judycie. Wnioskował, że nie minie ją kara. Wziąłem lasso i przywiązałem jej ręce do tułowia, po czym zawiesiłem u siodła broń i dosiadłem konia.



— Tak, teraz podajcie mi naszą dobrą znajomą — oświadczyłem. — Skoro tak chętnie z nami przebywa, wezmę ją w objęcia.

Emery i Winnetou podnieśli Judytę do góry. Wówczas zaczęła krzyżeć na całe gardło. Niewzruszenie przełożyłem ją przez konia, pozostali towarzysze dosiedli swoich rumaków. Winnetou uchwycił cugle konia Meltona i popędziliśmy wzdłuż skały, a potem na równinę, po której wciąż hulał wiatr. Z nieba zwisały ciężkie chmury. Noc była ciemna, choć oko wykol, lecz Winnetou był przewodnikiem, na którym można było polegać. Mimo mroku zauważyłem, że skręcił w kierunku, którego trzymaliśmy się od chwili wyjazdu z doliny Flujo Blanco.

Mogła być czwarta nad ranem. Zaczęło szarzeć. Jechaliśmy wciąż przez płaskowzgórze. Na lewo od nas, a więc na południu, wznosił się las, wrzynający się wąskim pasmem w widnokąg aż na zachód. Zatrzymaliśmy się dopiero w tamtym lesie. Kazałem opuścić Judytę na ziemię, po czym zeskoczyłem z konia i uwolniłem jej ręce. Wbiła spojrzenie w ziemię i milczała.

— Czy wie pani, gdzie jesteśmy? — zapytałem.

Nie odpowiedziała.

— Wiemy, jak lubi seniora z nami przebywać, ale, niestety, musimy zrezygnować z pani towarzystwa. Bywaj zdrowa!

Skoczyłem na konia i ruszyliśmy dalej. Po pewnym czasie odwróciliśmy się, Judyta stała wciąż jeszcze na tym samym miejscu.

— Nie wie, gdzie się znajduje — rzekł Emery.

— O to mi właśnie chodziło — odparłem.

— Czy znajdzie drogę powrotną?

— Prawdopodobnie, ale jeśli jest mądra, to nie ruszy się stamtąd. Jej Jumowie zarządzają poszukiwania, naturalnie z początku w kierunku gór Mogollon. Skoro się spostrzegą, żeśmy tam nie pojechali, wrócą i prędzej czy później odnajdą Judytę. Lęk przed samotnością na odludziu i obawa, że Jumowie nie zdołają jej odszukać, będą dla niej karą, chociaż nie tak wielką, na jaką zasługuje.

— Ale jeśli Jumowie istotnie jej nie odnajdą, wówczas zginie marnie!

— Na poszukiwaniach zejdzie im najwyżej jeden dzień. Być może, dzięki temu zaniechają dalszego pościgu.

Okazało się później, że miałem rację; podobno chwasty niełatwo jest wykorzenieć.

Posuwaliśmy się wciąż wzdłuż lasu, a potem pomiędzy jego drzewami, co nie utrudniało jednak jazdy, gdyż las był dość rzadki. W południe znów wjechaliśmy na zieloną równinę, na której tu i ówdzie wznosił się pagórek czy wzgórze.

Urządziliśmy godzinny postój, aby konie mogły odpocząć. Chcieliśmy już ruszyć dalej, gdy naraz w pewnej odległości wyłoniła się przed nami gromadka jeźdźców. Szybko cofnęliśmy się w głąb lasu. Po pewnym czasie rozpoznaliśmy w nich Indian. Dosiadali wspaniałych koni. Nie mieli ani oszczepów, ani też łuków.

— Wywiadowcy — zauważył Winnetou.

Podzielałem jego zdanie. Wywiadowcy muszą mieć ręce konie, aby się prędko poruszać. Broń, o której wspomniałem, może tylko przeszkadzać przy tego rodzaju wyprawach.

— Wywiadowcy? — zapytał Emery. — Można o nich mówić jedynie podczas stanu wojennego. Czy słyszeliście, aby któreś z tutejszych plemion wykopało wojenny tomahawk?

— Nie — odparł Winnetou. — Ale tu zbiegają się granice wielu plemion. Spory wśród nich nigdy nie ustają i łatwo mogą wynikać z tego powodu zatargi między sąsiadami.

— Ci trzej nie mają na twarzach żadnej farby — rzekłem. — Dlatego nie widać, z jakiego są plemienia.

— Mój brat niech poczeka, aż się zbliżą. Zdaje się, że są to trzej młodzi i jeden starszy wojownik. Być może, widziałem go już kiedyś..

Nie jechali wprawdzie wprost ku nam, ale zbliżyli się o tyle, że mogliśmy rozpoznać ich twarze. Rzeczywiście, trzech było młodych, jeden zaś stary.

— Uff! — zawołał Apacz. — Wszak to mój brat, Szybka Strzała, wódz Nijorów. Ten może nas zobaczyć.

Po tych słowach wyjechał z lasu ku wywiadowcom. Podążyliśmy za nim. Skoro tylko Nijorowie nas zobaczyli, sięgnęli po noże. Lecz już po chwili starszy Indianin krzyknął radośnie:

— Ufif! Mój przyjaciel i brat Winnetou! Wielki wódz Apaczów zjawia mi się jak promień słoneczny choremu, który tęskni do ciepła.

— A widok Szybkiej Strzały jest dla mnie niczym źródło dla spragnionego. Mój brat zostawił w domu oręż. Czyżby więc wyruszył na zwiady?

— Tak. Szybka Strzała wyjechał wraz z trzema wojownikami, aby się dowiedzieć, z jakiej strony będą ujadać psy Mogollonów.

— Dlaczego to powstała zwada między nimi a męźnymi Njiorami?

— Trzej nasi wojownicy jechali przez teren tych szakali. Zabito ich. Wysłałem posłów, aby się dowiedzieli, dlaczego podniesiono topór na naszych wojowników. Ale i oni nie

wrócili. Wówczas posłałem wywiadowców i dowiedziałem się, że Mogollonowie ponieśli wielkie straty w koniach, które wytrzebiła zaraza. Wobec czego zamierzają uderzyć na nas i zagabić nasze. Dlatego wyruszyłem, żeby sam się naocznie o tym przekonać! I teraz wracam.

— Jaką wiadomość przynosi mój brat swoim wojownikom?

Szybka Strzała otworzył usta, aby przemówić, ale zamknął je szybko, obrzucił nas badawczym spojrzeniem i rzekł:

— Wódz Apaczów jest w towarzystwie obcych białych i nawet związanego jeńca. Jakże więc mogę odpowiadać na jego pytanie?

Wówczas Winnetou wskazał ręką na Vogla i powiedział:

— Ten oto młody człowiek nie jest wprawdzie wojownikiem i nigdy nie walczył z wrogiem, ale jest władcą dźwięków radujących serca. Kiedy gra na strunach, uszy wszystkich którzy go słyszą, napełniają się zachwytem. Winnetou ofiarował miiii przyjaźń i ochronę.

Wskazując na Emery'ego, rzekł:

— Ten biały mąż jest wielkim, silnym i odważnym wojownikiem. Jego kamienne namioty wznoszą się z tamtej strony morza. Posiada liczne stadniny i ogromne bogactwa. Mimo to wyruszył, aby dokonać mężnych czynów. Winnetou jest jego przyjacielem. Poznał go już dawniej w górach i w sawannach, a przed kilkoma miesiącami za dwoma wielkimi morzami byś świadkiem jego odważnych poczynań.

— A ten oto? — zapytał Szybka Strzała, wskazując na mnie palcem.

Sądziłem, że Winnetou będzie się nade mną rozwodzić w pochwałach, ale odparł tylko:

— To jest mój brat, Old Shatter hand.

Oko Nijora drgnęło. Dotychczas siedział na koniu, teraz zeskoczył z siodła, wbił klingę noża w ziemię, usiadł, obok i powiedział:

— Dobry Manitu spełnił moje największe życzenie — widzę Old Shatterhanda. Moi znakomici bracia mogą zejść z koni i usiąść przy mnie. Zaś swego jeńca powierzcie moim młodym wojownikom, którzy go będą pilnie strzec.

Zeskoczyliśmy także na ziemię. Właściwie ani oni, ani my nie powinniśmy byli marnować czasu. Ale nie chcieliśmy sprawiać przykrości wodzowi Nijorów. Usiedliśmy więc przy nim, tworząc krąg wokół noża. Na skinienie Apacza trzech młodzi Indianie zdjęli Meltona z konia, związali mu nogi i położyli w trawie obok siebie, tak daleko od nas, żeby nie mógł słyszeć naszej rozmowy.

Szybka Strzała zdjął z rzemienia kalumet, nabił go i zapalił tytoń zapałką; którą mu podałem. Wypaliliśmy fajkę pokoju zgodnie z ceremoniałem<sup>1</sup>. Skoro nastąpiło ostatnie

pociągnięcie, zostaliśmy przyjaciółmi. Teraz dopiero odpowiedział wódz na poprzednie pytanie Winnetou:

— Psy Mogollonów za cztery dni wyjdą ze swych nor, aby wyruszyć przeciwko mojemu plemieniu.

— Skąd mój brat może znać tak dokładnie termin? — zapytał Apacz.

— Widziałem, jak przygotowywali swoje leki. Zwykle potem mijają cztery dni, zanim wyrusza się na wyprawę.

— Czy mój brat poczeka na nich, czy też wyjedzie im naprzeciw?

— Nie wiem jeszcze. Uchwała zapadnie na radzie starszych. Czy mój brat Winnetou pojedzie ze mną, aby przemawiać na zebraniu? Moi wojownicy będą też dumni z obecności mądrego i mężnego Old Shatterhanda.

— Chętnie byśmy z tobą pojechali — odezwał się — ale śpieszy nam się do Mogollonów.

— Do nich, do wrogów mego plemienia?! — zawołał zdumiony.

W krótkich słowach wyjaśniłem mu powód naszej wyprawy. Namysławiając się, zamknął oczy i rzekł po chwili:

— Moi bracia mogą przecież jechać ze mną. Skoro zły biały, którego zważ Melton, oddał się pod opiekę Mogollonów, zostanie przy nich na pewno.

— A jeśli odmówią mu obrony?

— Wówczas uda się do Jasnej Skały, aby czekać tam na swoją squaw.

— Ta już wyruszyła w drogę. Może się jutro z nim spotkać. Widzisz zatem, że nie wolno nam tracić czasu.

— Istotnie, przyznaję ci rację. Mój brat Old Shatterhand powiedział, że Melton opuścił pueblo na koniu?

— Tak.

— Ale nie w powozie?

— Nie.

— Czy była przy nim biała squaw?

— Wtedy nie.

— A woźnica?

— Nie.

— A biały myśliwy, który jest przewodnikiem?

— Też nie. Dlaczego Szybka Strzała zadaje te pytania?

— Ponieważ widziałem, jak Mogollonowie napadli na powóz. Zastrzelili woźnicę i schwytali w niewolę białego mężczyznę, białą kobietę i przewodnika.

— Dlaczego mieliby na nich napaść?

— Przecież wykopali wojenny topór. Kiedy te psy wojują z czerwonymi, białych również uważają za swych wrogów.

— Niepodobna, aby to był Jonatan Melton. Ale teraz tym bardziej nie możemy zwlekać — życie napadniętych wisi na włosku. Musimy się rozstać z mężnym wodzem Nijorów. Być może, zobaczy nas prędzej, niż sądzimy.

— Czy Old Shatterhand ma istotnie tę nadzieję?

— Tak. Może nawet będziemy potrzebowali twej pomocy przy schwytaniu Meltona. Czy możemy na ciebie liczyć?

— Tak. Wypaliliście ze mną fajkę pokoju, a więc wasi wrogowie są także moimi. Gdy tylko będziecie mnie potrzebowali, przyjdźcie do mnie. Bardziej cenię towarzystwo Winnetou i Old Shatterhanda niż innych wojowników. Będziecie mile widziani i sprawicie nam wielką radość.

— Czy Mogollonowie przypuszczają, że wiecie o ich planach?

— Zdają sobie sprawę, że znamy ich wrogie zamiary, ale nie spodziewają się, że wiemy, kiedy mają przeciw nam wyruszyć.

— To bardzo dobrze! Zaskoczy ich wasza zbrojna gotowość. Jakie plemię jest silniejsze, wasze czy ich?

— Liczebnej przewagi żadne z nas nie ma.

— Mam nadzieję, że będę mógł wam się przydać. Czy byłbyś łaskaw wyświadczyć nam pewną przysługę?

— Powiedz, jaką. Uczynię wszystko, o ile będzie to w mej mocy.

— Moja prośba jest zarazem dowodem przyjaźni jak i wielkiego zaufania, jakie do ciebie żywię. Nie wiemy na razie, co nas oczekuje w najbliższych dniach. Prawdopodobnie nasza roztropność i odwaga zostaną wystawione na ciężką próbę. Gdybyśmy musieli wlec z sobą jeńca, nie moglibyśmy ręczyć za powodzenie tej sprawy.

— Chcecie mi go powierzyć? Czy mam go strzec? — zapytał wódz.

— Prosiłbym cię o to.

— W takim razie chętnie spełnię twoją prośbę. Jestem z niej dumny, albowiem dowodzi, że uważasz mnie za swego przyjaciela i brata. Możesz być pewien, że będę go tak samo dobrze pilnował, jak gdybyś ty osobiście go własnym okiem doglądał.

— Dziękuję. A teraz spójrz na młodego człowieka, który siedzi przy mnie. Wódz Apaczów powiedział, że nie jest to wojownik. Młody biały nie przywykł do niebezpieczeństw, które nas zapewne jeszcze czekają. Czy mógłby pojechać z tobą? Czy zechciałbyś go wziąć pod swoją opiekę?

— Tak. Będzie mieszkał u mnie w namiocie i będę go traktował niczym własnego syna. Jego obecność będzie mi rękojmią, że wkrótce was zobaczę. Czy moi bracia mają jeszcze jakieś życzenia?

— Już nie. Za okazaną nam życzliwość chcę ci powiedzieć, że odtąd będziemy często myśleli o tobie i twoim szczepie. Postaramy się też wybadać Mogollonów.

— Ta usługa będzie dla mnie warta tak dużo, jak gdybym wysłał dziesięciokroć po dziesięciu wywiadowcom którzy mają za nas patrzeć, myśleć i działać. Chwałę dobrego Manitu, że mnie z wami zetknął. On sprawi również, aby niebawem moje oczy znów radowały się widokiem waszych twarzy. Howgh!

Stary Melton był wielce zdumiony kiedy dowiedział się, że zabierają go ze sobą Nijorowie, a jednak ta zmiana nie wydawała mu się nieprzyjemna. Od nas nie mógł się spodziewać niczego dobrego, zdawał sobie z tego doskonale sprawę. Nijorom zaś nic złego nie wyrządził; być może, nie będą go zbyt pieczołowicie strzegli; być może, uda mu się przekonać ich, że jest niewinny; być może nawet, znajdzie się ktoś, kto omamiony przyrzeczeniem, dopomoże mu w ucieczce. W każdym razie zmiana ta nie mogła pogorszyć jego sytuacji. Dlatego na jego twarzy malowało się zadowolenie, kiedy przywiązaliśmy go ponownie do konia. My natomiast mogliśmy być pewni, że Nijorowie nie zawiodą naszego zaufania. Wszak byłby to dla nich nie lada wstyd, gdyby nie mogli nam na nasze żądanie zwrócić jeńca. W ich plemienu będzie otoczony lepszą strażą niż u nas,, mimo że jedzie z nimi z większą ochotą niż nasz młody przyjaciel–wirtuoz.

Pożegnanie było krótkie, ale wyjątkowo serdeczne. Przyjaciele nasi znikli niebawem w lesie, a my trzej, Winnetou, Emery i ja pojechaliśmy w kierunku, skąd przybyli Nijorowie.

Teraz nikt już nie przeszkadzał nam rozwinać największej szybkości. Jak burza przemknęliśmy przez zieloną równinę. Mogliśmy się spodziewać, że do celu dotrzemy już najbliższego rana.

Droga Nijorów była najprostsza — trzeba tylko było jechać ich tropem, który później znikł, gdyż w pobliżu wroga starali się zatrzeć za sobą ślady. Wieczorem, oddaleni o jakieś siedem mil od Wejsca spotkania z Szybką Strzałą, szukaliśmy dogodnego miejsca na postój. Z lewej strony wznosiło się wzgórze. Zagajnik rosnący w pobliżu świadczył o dużej ilości

wody. Ominęliśmy pagórek i zobaczyliśmy przed sobą krzewy, z których nagle rozległ się...  
głos:

— Zatrzymajcie się! Jeśli zrobicie choć jeden krok, dostaniecie kulą w łeb!

To nie były przelewki. Nie wiedzieliśmy, kto nam groził, bo tkwił ukryty w krzakach. Stanęliśmy niechętnie. Słowa mówiącego świadczyły, że był to biały i nie Hiszpan.

— Gdzie jest właściwie surowy pan i władca tego pagórka? — zapytałem po chwili

— Tu, za dziką wiśnią, zza której sterczy lufa mojej strzelby — odparł.

— Dlaczego grozi nam pan kulą, sir?

— Będę was tak długo trzymał na muszce, póki nie dowiem się, czy jesteście łotrami, czy też dżentelmenami.

— To drugie, tylko to drugie, drogi panie — odezwał się Emery.

— Tak może się przechwalać każdy szubrawiec. Proszę mi jednak tego dowieść i to natychmiast!

— W jaki sposób? Czy sądzi pan, że obnosi się tu człowiek ze świadectwami chrztu lub szczepienia przeciw chorobom zakaźnym?

— Kiepskie to żarty! Wymieńcie tylko swoje nazwiska! Kim jest ten czerwonoskóry mężczyzna, który wam towarzyszy?

— To Winnetou, wódz Apaczów. Mnie zaś nazywają Old Shatterhandem.

— Do licha! Winnetou i Old Shatterhand! Co za spotkanie! Spieszę, natychmiast spieszę do was!

Gałęzie rozsunęły się i zza drzewa wyszedł bardzo długi i chudy mężczyzna. Wisiały na nim same łachmany. Głowę miał odkrytą, w ręku trzymał... maczugę. Gdyby się taki pokazał na naszych drogach, zaarrestowano by go niezwłocznie jako włóczęgę spod ciemnej gwiazdy.

Z gestem naśladującym zdejmowanie kapelusza skłonił się i zawołał:

— Wielki to honor, niezwykle honor dla mnie, panowie! Zjawiacie się na czas. Naprawdę nie wiedziałem, gdzie was szukać.

— Pan nas szukał? — zapytałem wielce zdziwiony.

— Dotychczas jeszcze nie, ale miałem właśnie taki zamiar.

— Nie pojmuję. Czy jest pan sam?

— Tak.

— Jak mamy pana nazywać?

— Jak wam się podoba. Nazywają mnie rozmaicie. Jeśli jest pan istotnie Old Shatterhandem, a wygląda mi sir na niego, to na pewno słyszałeś o Willu Dunkerze.

— Słynny wywiadowca generała Granta?

— Tak, sir. Nazywają mnie również Długim Dunkerem lub Długim Willem.

Znów zdjął niewidzialny kapelusz.

— Więc chciał mnie pan odszukać? — podjąłem temat.

— Tak. Pana, Winnetou i młodego muzyka, nazwiskiem Vogel.

— Zadziwiająco! Czy można było coś podobnego przypuścić? — rzekłem, zwracając się do Emery'ego i Winnetou.

— Słyszysz pan, że tak jest. Zresztą wyjawię panom całą rzecz. Zsiądźcie tylko z koni i chodźcie ze mną.

— A więc możemy już ruszyć się z miejsca?

— Oczywiście. Oto moja strzelba — roześmiał się i wskazał na swoją pałkę.

— Czy nie używa pan godniejszej obroni?

— Nie. Wysunąłem przez gałęzie maczugę, aby was oszukać.

— Ale wszak Will Dunker musi posiadać broń.

— Miałem broń i to jaką! Odebrali mi ją Mogollonowie.

— Ach, więc napadli na pana?

— Zgadza się. I na czterokonny powóz.

— Pan był przewodnikiem, woźnicę zaś zastrzelono?

— Tak jest. Ale mówi pan o tym tak, jak gdyby się temu przyglądał. Skąd te informacje?

— Niech pan przedtem powie, kim jest ta lady, która siedziała w wozie?

— Już mówię. Podejdźcie tylko do wody i rozgoście się jak u siebie w domu. Witam was, panowie, serdecznie was witam! Wielki to dla mnie zaszczyt widzieć was, nader wielki zaszczyt!

I znowu kłaniał się nam, zdejmując z głowy niewidzialny kapelusz. Słyszałem już o tym dziwnym człowieku, ale widziałem go po raz pierwszy. Zeskoczyliśmy na ziemię i wprowadziliśmy do zagajnika nasze konie, po czym zatrzymaliśmy się nie opodal źródła tryskającego z ziemi, obok którego stał wspaniały, po indiańsku okiełznany rumak.

— To pański koń, mister Dunker? — zapytałem z podziwem.

— Tak! — odpowiedział. — Właściwie, jeśli pan woli, pożyczyłem go sobie od Silnego Wichru, o ile pan zna tego Indianina.

— Aha, od wodza Mogollonów. Cóż go skłoniło do pożyczenia panu takiego wspaniałego bieguna?

— Właściwie on sam o tym nie wiedział. To była pożyczka wbrew jego woli, zapomniałem zapytać go o pozwolenie.

— Nie słyszałem nigdy, aby Will Dunker był koniokradem.



— Nie jest nim, sir, istotnie nie jest! Może pan wierzyć. Ale Mogollonowie zabrali mi wszystko i podarli na mnie odzież, kiedy się broniłem. Chcieli mnie schwytać żywego. Za to zabrałem konia.

— Niezła przygoda, jak sędzę. Musi nam pan opowiedzieć!

— Chętnie! Ale niech mi pan pożyczy jakiejś broni, jeśli macie zbyteczną, abym czuł się człowiekiem.

— Proszę wziąć rewolwer.

— Wziął go, obejrzał dokładnie, spojrzął na markę i rzekł:

— Wspaniała broń. Słynna fabryka, sir! Teraz mogą nadejść ci szubrawcy, powitam ich godnie. I jeszcze coś! Może macie kęs lub dwa mięsa? Od wczorajszego rana nie miałem nic w ustach.

— Oczywiście, może pan dostać również mięsa. Proszę, Emery, odkraj spory kawał!

Kawał suszonego mięsa, przeszło dwa funty, znikł w ciągu krótkiej chwili. Ten dopiero był głodny! Potem rękami zaczerpnął wody ze źródła, wypił i rzekł, mlaskając głośno:

— To mi pomogło! Nie sądziłem, że będę jeść tak szybko. To szczęście, to prawdziwe szczęście, że was tu spotkałem, i nie tylko dla mnie, ale i dla pozostałych towarzyszy podróży uwięzionych przez Mogollonów. Tylko wy potraficie ich wybawić!

— Cóż to za ludzie?

— Co za ludzie? Hm, zdziwicie się, bardzo się zdziwicie!

— Mówże wreszcie! Mów wszystko, co wiesz!

— Dowie się pan za chwilę. Zacznę jednak od początku. A zatem, siedziałem w forcie Belknar przy szklaneczce najwspanialszego pod słońcem trunku i namyślałem się, dokąd skierować swe kroki: czy do Red Riwer, czy też może do Estacado. Naraz zatrzymał się przed drzwiami powóz, zaprzęzony w cztery konie. Wysiadł z niego jegomość, w którym na odległość można byłoby rozpoznać dżentelmena. Wszedł do izby, usiadł przy najbliższym stoliku i medytował jak ktoś, kto nie wie, co ma wypić. Naturalnie poradziłem mu, aby kazał sobie podać to samo co ja, i wpięrow dałem mu skosztować ze swej szklanicy. Nie leliśmy za kołnierz — możecie mi wierzyć. W rozmowie wyjaśniłem mu, kim jestem. Wobec tego zapytał, czy nie znam jakiegoś dzielnego i pewnego przewodnika do Nowego Meksyku i dalej. Chciał się dostać do Frisco. Nieraz już przebywałem tę drogę, znam ją tak dobrze jak własną kieszeń, przeto zaofiarowałem mu swoje usługi. Wziął nowe konie i już po godzinie wyruszyliśmy w drogę. Czy domyśla się pan, kim jest ten człowiek? Zna go pan dobrze, sir!

— Istotnie? To przypadek!

— Przypadek, ale szczęśliwy. Ten master nazywa się Murphy, Fred Murphy, i jest adwokatem w Nowym Orleanie.

— Adwokat Fred Murphy? Czy to być może!? — krzyknąłem. — Dalej! Niech pan opowiada!

— Dobrze. Ze względu na pana skrócę swoje opowiadanie.

— Czy wie pan, czego Murphy szukał w San Francisco?

— Wówczas jeszcze nie wiedziałem, ale teraz jestem już zorientowany, słyszałem bowiem jego rozmowę z lady

— Co to była za dama? — zapytałem z narastającą ciekawością.

— Zanim zacznę mówić o niej, muszę wpierw wspomnieć o Albuquerque.

— O Albuquerque? Mówże konkretnie!

— A więc musieliśmy czekać w tym mieście przez cały dzień, trzeba było bowiem naprawić powóz. Siedzieliśmy w salonie, którego właściciel — zdaje mi się — nazywał się Plener jedliśmy posiłek. Przebywali tam również inni ludzie. Rozmawiali oni o niedawnych koncertach pewnego rodzeństwa, skrzypka i śpiewaczki, którzy występowali razem pod hiszpańskimi nazwiskami, ale powszechnie wiadano, że pochodzą z Niemiec. Wypaplała to gospodyni, u której mieszkali.

— Czy ludzie ci wymienili rzeczywiste nazwiska rodzeństwa?

— Naturalnie! Brat nazywał się Vogel, a nazwisko siostry brzmiało Werner. Usłyszawszy to, adwokat zerwał się na równe nogi. Dopytał się o ich adres i czym prędzej wybiegł z salonu. Gdyby nie był adwokatem, myślałbym, że oszalał.

— I co dalej? — ponaglałem go.

— Dalej? Nie mogę nic więcej powiedzieć poza tym, że następnego ranka pani Werner wsiadła do powozu i udała się z nami w podróż. Pojechaliśmy drogą ku San Jose, przez Sierra Mądre do New-Wigante, a następnie do Rio Puerco, gdzie przepawiliśmy się przez Kolorado i ruszyliśmy dalej drogą do Cerbat. Nagle lady Werner oznajmiła nam, że dalej nie jedzie, że tam pozostaje, by odszukać swego brata, który w tych stronach buszuje wraz z Old Shatterhandem, Winnetou i pewnym Anglikiem, sir Emerym.

— Oto on we własnej osobie — wskazałem z uśmiechem na Emery'ego, który wykonał dość ceremonialny ukłon w stronę Dunkera.

— Bardzo mi miło... — odkłonił się Dunker, zdejmując przy tym, po raz nie wiem już który, swój niewidzialny kapelusz, po czym kontynuował dalej: — Z ich rozmowy dowiedziałem się o przywłaszczeniu spadku przez niejakich Meltonów oraz o tym, że Old

Shatterhand, Winnetou i Emery udali się na poszukiwanie oszustów i przebywają gdzieś nad dopływem Kolorado.

— Nie, nad Flujo Blanco — sprostowałem.

— Możliwe, nie pamiętam dokładnie. Lady Werner chciała wraz z nimi wyruszyć na tę wędrowną, ale nie zgodzili się na to. Więc teraz postanowiła, że musi odszukać brata i przyjaciół. Adwokat skapitulował wobec damy i odstąpił od pierwotnego zamiaru, dlatego też zamiast do Meksyku podążyliśmy ku górcom Mogollon. Wtedy to pomyślałem sobie, że gdzieś tam nad jakimś dopływem Kolorado w jakimś niedostępnym miejscu musieli ukryć się Meltonowie.

— Bardzo słuszne rozumowanie. Ale jak pan mógł, mister Dunker, zapuszczać się na takie pustkowie, do tego z damą w powozie?! Jak pan sobie takie podróżowanie wyobrażał, co? A o odpowiedzialności za życie tych ludzi, którzy panu zaufali, pan na pewno nie pomyślał?

— Niewiele mogłem oponować, a moich perswazji dama ta w ogóle nie chciała słuchać. Wyraziła życzenie i żądała, aby je spełnić. Adwokat zaś zapatrzony w nią, stracił zupełnie głowę, nie myślał logicznie. A ja? Cóż ja mogłem poradzić, skoro oni zadecydowali inaczej? Gdy tylko zjechaliśmy z drogi, zaczęły się trudności. To zapadaliśmy się w gąszczu, to znów musieliśmy wspinać się mozolnie pod górę, bo droga była tak kręta, że biedne konie ledwie zdołały ciągnąć powóz, to wreszcie trzeba było przeprować się przez strumyki, w których wóz grzązł na długie godziny. Właśnie wczoraj po południu tkwiliśmy w takiej dziurze, gdy nas zaskoczono. Stu Indian przeciwko mnie jednemu. Woźnica runął zestrzelony z kozła, na adwokata zaś nie można było liczyć. Zanim zdążyłem odwieść kurek rewolweru, uchwyciło mnie dwadzieścia lub więcej rąk. Waliłem dookoła siebie ile miałem sił, ale to nie mogło nas ocalić. Podarto na mnie odzież, przygnieciono do ziemi, związano i sprowadzono do uroczej miejscowości, zwanej Klekie-Tse, czyli Jasna Skała.

— Ach! Tam właśnie jedziemy!

— Tak, powinniście tam jechać.

— Powinniśmy? Któż to powiedział?

— Lady Werner, która przebywa tam wraz z adwokatem. Czy był pan już kiedyś w Jasnej Skale?

— Nie, nigdy.

— Niech więc pan sobie wyobrazi małą górę. Ze szczytu jej widać okrągły zamek o białych murach, oknach, portalach, kolumnach, filarach, schodach, gankach i wieżach. Sądziłby pan, że wybudował go jakiś znakomity architekt, a jednak jest to tylko naturalna skała, biały kamień wapienny, który wydrążył i obrobił wyłącznie deszcz. Wzdłuż zamku

płynie rzeczka, która jedną stroną przylega do skały, drugi zaś jej brzeg jest gęsto zarośnięty krzewami. W pobliżu rozciąga się łąka i tani właśnie Mogollonowie rozbili swe namioty.

— Czy wojenne?

— Nie. Mieszkają w nich wraz ze swymi żonami i dziećmi. Do tej właśnie pięknej miejscowości wkrótce potem nas zaprowadzono. Byliśmy spętani i leżeliśmy chwilowo obok siebie. Tchórzem podszyty, błądy ze strachu adwokat na przemian trzął się z gniewu, to znów łkał. Lady była milcząca i opanowana. Liczyła na pańską pomoc.

— Podążymy tam niezwłocznie! — zapewniłem go.

— Rozłączono nas wieczorem — ciągnął swe opowiadanie Dunker. — Mnie umieszczono w namiocie, strzeżonym przez jednego Indianina. Podobnie postąpiono z adwokatem. Lady dostała również namiot, ale w przeciwieństwie do nas zdjęto z niej więzy, a nawet pozwolono swobodnie wychodzić z namiotu. Zdaje się, że to jej oczy tak urzekły wodza. Dziś koło południa zdarzyło się coś; co pana bardzo zainteresuje. Otóż wyciągnięto mnie i pana Murphy'ego z namiotów, aby przeprowadzić coś w rodzaju śledztwa. Siedzieliśmy obok siebie, a dokoła nas stali najprzedniejsi wojownicy Mogollonów. Naraz przyprowadzono jeźdźca, który właśnie przybył i chciał rozmawiać z wodzem. Był to biały. Na jego widok adwokat zaczął krzyczeć jak opętany.

— Czy wymienił jego nazwisko?

— Tak. Z początku nazywał go Smallem, Smallem Hunterem, a następnie Jonatanem Meltonem.

— Jakie to wrażenie wywarło na jeźdźcu?

— Z początku się przeraził, ale później uradował. Przemawiał długo do wodza, jednak nic nie mogliśmy usłyszeć. Przebył zapewne długą drogę i jechał chyba przez całą noc, gdyż z osłabienia musiał usiąść, a wierzchołek pod nim był cały okryty pianą i kurzem.

— Jak zachował się wódz?

— Najpierw przywitał go posępnie, lecz po jego przemowie wypogodził się i nawet wypalił z nim fajkę pokoju.

— O, biada nam!

— Wiem, że jest to jeden z trzech Meltonów. I to najważniejszy oszust. Powiedział mi o tym adwokat.

— Czy Melton nie miał przy sobie torby?

— Owszem, miał torbę z czarnej skóry. Wisiała na rzemieniu przewieszonym przez jego ramię. Po skończonej rozmowie wódz wyznaczył mu namiot.

— Czy zauważył pan, który?

— Tak. Sąsiaduje z namiotem, w którym mnie umieszczono. Melton wszedł na chwilę do swego namiotu, po czym wrócił do nas.

— Czy nadał miał przy sobie torbę?

— Już nie.

— A zatem zostawił ją w namiocie. To bardzo ważne! Słucham pana dalej. — Podszedł więc do nas, pokpił trochę z adwokata i powiedział mu, że zginie przy palu męczeńskim, skoro tylko Mogollonowie wrócą z wyprawy wojennej.

— Planowali więc wyprawę wojenną?

— Słyszałem o tym tylko z ust Meltona.

— Wiem, że Mogollonowie chcą napaść na Nijorów i zrabować im konie.

— A ci o tym nie wiedzą?

— Wiedzą i szykują się do obrony.

— Świetnie. W takim razie nasze akcje idą w górę. Pojedziemy do Nijorów i sprowadzimy ich, aby odbić lady i adwokata.

— Musimy się przedtem zastanowić — zdecydowałem.

— Dlaczego?

— Przede wszystkim muszę poznać obóz Mogollonów.

— Chce pan do nich jechać? Wprost w rozwartą paszczę wilka?

— Ani mi to w głowie. Niech pan opowie, jak stamtąd uciekł.

— Powiedziałem już panu, sir, że wyciągnięto mnie i adwokata z namiotów oraz że zniecka przybył Melton. Otóż tak zaprzętał swoją osobą wodza, że ten nie mógł się nami zająć. Nie zwracano na nas większej uwagi. Nogi mieliśmy wolne, tylko ręce wciąż spętane. Już od wczoraj szarpałem i targałem rzemienie. W moim namiocie stał stary garnek z wodą do picia. Zmoczyłem w niej rzemienie, które wnet zmiękły i zwiotczały. Ucisk zmalął. Czekałem tylko na odpowiednią chwilę, aby umknąć. Prowadzono mnie z powrotem do namiotu i przechodziliśmy właśnie koło wigwamu wodza. Stał przed nim koń, którego tu widzicie, wspaniały rumak, jakich niewiele na świecie. Oto nadarzyła się chwila, której tak oczekiwałem. Zerwałem więzy, dopadłem konia i pocwałowałem przed siebie.

— Reakcja była chyba natychmiastowa?

— Z początku nie było żadnej. Indianie po prostu oniemieli ze zdumienia, tak że przejechałem bez przeszkód przez cały obóz. Dopiero potem zaczęło się widowisko: rwetes, krzyki, nieopisany harmider. Dosłyszałem wystrzały, ale było już za późno! Wszystkie chybiły. Nietknięty wyjechałem z obozu, wyminąłem wartowników. Byłem wolny. Miałem

wspaniałego konia, ale niestety żadnej broni. Przybyłem aż tutaj, napiłem wierzchowca i zamierzałem ruszyć dalej, gdy was ujrzałem. Tak, teraz wiecie już o wszystkim!

— Jak długo pan tu jechał?

— Może z trzy godziny.

— Czy sądzi pan, że zorganizowali pościg?

— Oczywiście, ścigają mnie na pewno. Jeśli im nawet nie zależy na mnie, to bądź co bądź rumak, którego porwałem, jest tak cenny, że nie będą szczydzili trudów, aby go odzyskać.

— A więc ścigający pędzą w ślad za panem. Przybędą tu, ale dopiero wieczorem. Słońce już skryło się za widnokrzem, a w ciemnościach Indianie nie odszukają tak łatwo śladów. Jednakże my nie będziemy zwlekać. Jedziemy do Jasnej Skały.

— Dobrze, jadę z wami!

— Nie mogę tego od pana wymagać. Bądź zadowolony, żeś stamtąd uciekł. Wracać tam z powrotem byłoby nie lada zuchwałością.

— Ale nie teraz, sir! Skoro Old Shatterhand i Winnetou są przy mnie, mogę się odważyć na wszystko. Jadę z wami! A może chcecie rozpowiadać o Długim Dunkerze, że uląkł się garstki Indian?

— To, co słyszałem o panu, nie pozwala posądzać cię o tchórzliwą naturę.

— Tak? Więc mówią o mnie nieźle? To mnie, starego urwisa, bardzo cieszy! Jadę z wami i możecie zrobić, co się wam żywnie podoba; ja będę przy was, panowie! Lecz nie podążymy drogą, którą przybyłem, aby nie zderzyć się z moimi prześladowcami.

— Ma pan rację! Winnetou jest obeznany z okolicą. On nas poprowadzi.

— Winnetou tak was poprowadzi — odezwał się Apacz — że już po dwóch godzinach ujrzycie przed sobą Jasną Skałę.

Napoiwszy konie, pomknęliśmy w kierunku Jasnej Skały. Zbliżał się wieczór. Niebo było dziś znowu usłane chmurami. Szybko zaległa ciemność, Winnetou jednak prowadził nas pewnie, niczym za dnia.

Stało się tak, jak przewidział. Po dwóch godzinach jazdy osadził konia na miejscu. Przed nami wznosiła się wysoka, ciemna skała. Apacz rzekł:

— To jest góra, o której mówił Dunker.

— Czy rzeczywiście? — zapytał wymieniony. — Nie poznałem jej w ciemnościach.

— To ona. Ze szczytu widać Jasną Skałę.

— Musimy wspiąć się na jej wierzchołek. A więc naprzód! — rozpędził się Dunker.

— Stój! — ostrzegłem go. — Czy obóz zaczyna się po tamtej stronie góry?

— Tak.

— Czyli że góra panuje nad obozem. Dziwiłbym się bardzo, gdyby tai; ustawiono na niej posterunku. Niech najpierw wejdzie tam sam Winnetou i zorientuje się w sytuacji.

Apacz zeskoczył z konia i znikł w mroku nocy. Wrócił dopiero po pół godzinie.

— Moi bracia niech się mają bacności — rzekł. — Na górze podwójny posterunek.

— Więc nie możemy tam wejść? — zapytałem.

— Wejść tak, ale nie wjechać.

Zostawiliśmy konie pod pieczę Emery'ego w pewnym oddaleniu od góry. Następnie wróciliśmy pod podnóże i zaczęliśmy się ostrożnie wspinać. Na górze, gdzie czuwali Indianie, płonęło ognisko, oświetlające wyraźnie dwie postacie. Wartownicy, a raczej ci, którzy ich tam postawili, nie zasługiwali na nagrodę.